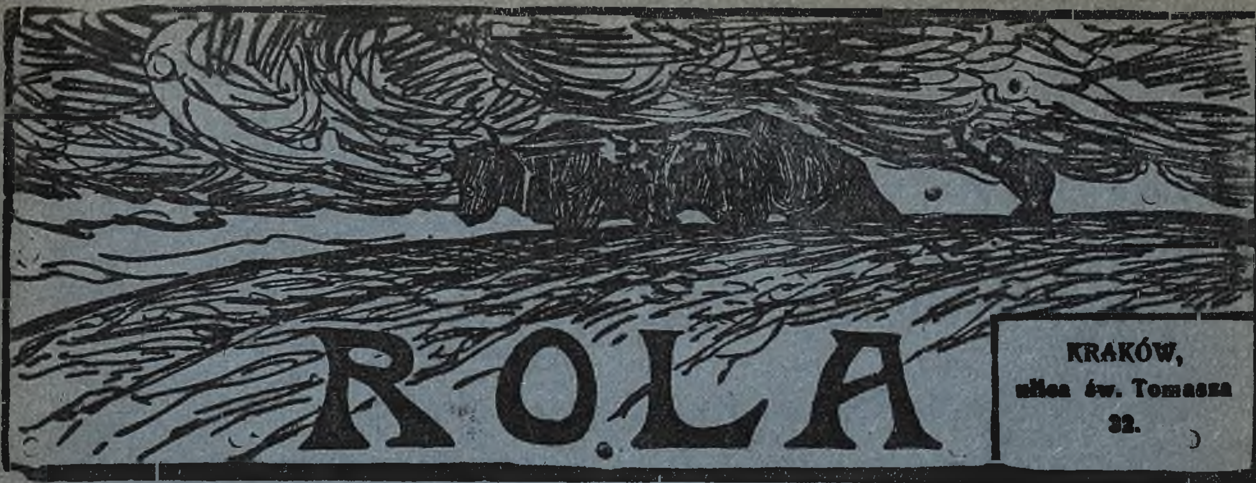
Numer 52. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 25 Grudnia 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Kalendarze „Figielki“ już wyczerpane.

Wszyscy Prenumeratorzy, którzy nadeślą całoroczną prenumeratę będą brali udział w losowaniu nagród.

Różne nosy.

Ojciec: Pamiętaj sobie Józiu, że równe nosy są greckie, a wypukłe, to są rzymskie.

Józio: W takim razie nasza ciocia ma nos grecki, a garb ma rzymski.



Kiepskie czasy.

Organista: Kiepskie czasy, źle się dzieje, kiedy się do duchowieństwa biorą.

Kościelny: No, cóż nowego?

Organista: Ano wczoraj mojego syna do wojska zabrali.



Tato gwizdnij!

Jadą koleją rodzice z małym synkiem, który ciągle wygląda oknem. Ojciec mówi: Nie wyglądaj, bo ci wiatr porwie kapelusz. Gdy to nie pomaga, ojciec zrywa mu kapelusik z głowy, chowa i mówi: Widzisz, wiatr porwał. Chłopiec w płacz, a ojciec mówi: Tylko gwizdnę, to już masz kapelusz na głowie — gwizdnął i wsadził chłopcu kapelusz. Po chwili chłopiec wyrzuca kapelusz oknem i mówi: Tato! gwizdnij jeszcze raz.

Dowcipny chłopiec.

Ksiądz: Powiedz mi chłopcze, gdzie Bóg jest, to ci dam jabłko.

Chłopiec: Niech mi ksiądz katecheta powie, gdzie Go niema, to mu dam 4 jabłka.



Milczące sumienie.

Matka do synka: Czemu nie śpisz?

Chłopiec: Bo ksiądz uczył w szkole, żeby zawsze wieczór pytać się sumienia — ja pytam moje, ale nic nie odpowiada.



Wyjechał.

Szef: Powiedziałeś temu panu żem wyjechał do Południowej Ameryki?

Woźny: Tak jest, panie szefie! Powiedziałem, że pan wyjechał dziś rano.

Szef: Bardzo dobrze. A nie chciał ten pan wiedzieć, kiedy wrócę?

Woźny: Taak! Powiedziałem, że dziś pod żadnym warunkiem.

Numer 52. X. Rok **Kraków, dnia 25 Grudnia 1927**

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Z OPŁATKIEM.

Zbliża się chwila wielka, chwila uroczysta, jednocząca wszystkie serca i wszystkie umysły w jeden akord wzajemnej miłości. Nadchodzi największa rocznica, rocznica Narodzenia Pana Jezusa. To wielkie święto poprzedzi Wigilja, dzień, w którym przy wspólnym stole zasiędzie cała rodzina i cieszyć się będzie, iż Bóg dozwolił jej w zdrowiu doczekać tak radosnego święta. Zasiędą przy stole wigilijnym starzy i młodzi, niewiasty i mężczyźni, a łamiąc się opłatkiem, życzyć sobie będą przebycia w szczęściu i zdrowiu znowu dalszego jednego roku, któryby przeszedł im bez trosk i niepokojów.



Ale w dniu tym będą i tacy, którym nie będzie miał kto życzeń złożyć, z którymi nie będzie miał kto połamać się opłatkiem. Znajdą się i tacy, którzy wśród tłumów świata tego będą samotni, a może samotniejsi, aniżeli podróżnik na rozległych przestrzeniach nieprzejrzanej pustyni. Otaczał ich będzie wesoły i szczęśliwy tłum ludzi, zadowolonych z samych siebie, a niczyje serce z tych wielotysięcznych rzesz nie skieruje się w stronę osamotnionych i zapomnianych. Może nie ulituje się nikt nad nimi i nikt o nich nie wspomni.

Tych może najnieszczęśliwszych ludzi na świecie przypominamy Wam dzisiaj Kochani Czytelnicy. Wspomnijcie przy opłatku o tych bezimiennych a zapomnianych nieszczęśliwcach. W duchu połamcie się z nimi opłatkami i życzcie im, aby w przyszłości szczęście zabłysło im jasnym promieniem! Obejmcie w dniu tym myślą swoją wszystkich, boć my wszyscy jesteśmy braćmi bez względu na narodowość i miejsce zamieszkania.

A przedewszystkiem ten opłatek wigilijny połączy nas w myślach naszych z wszystkimi rodakami tak z tymi, którzy ukochaną naszą Ojczyznę zamieszkują, jak i z tymi, którzy, rozrzuceni po całej kuli ziemskiej, tęsknią za nią i powrotu do niej oczekują.

Pomyślcie w dniu tym również i o nas, którzy, zajęci przez cały rok przy biurku redakcyjnem, staramy się o strawę dla ducha Waszego. Pomyślcie o nas tak, jak my o Was myśleć będziemy. Wierzajcie nam, że w dniu tym myśl nasza poleci ku Wam, aby Wam wypowiedziec z głębi serca życzenia i zachęcić do dalszej pracy nad uszlachetnieniem dusz Waszych. Myśl nasza poleci ku Wam, aby Wam życzyć miłości Boga i miłości Ojczyzny, miłości współbraci Waszych, miłości wzajemnej i zgody. Niech ta chwila wielka i święta połączy duchy nasze razem, jako dzieci jednego Boga i jednej Ojczyzny, niech wygna z serc naszych precz zawiść i niezgodę.

A Ty, Jezu Dziecię, podnieś rączkę i błogosław nas, jako tych, którzy się wzajemnie miłują. Użycz nam siły, abyśmy nie byli, jako liść przez wichry miotany, ale jako stal silni i wytrwali! Daj nam wytrwałość w poczynaniu dobrego, a wypędź złe myśli z umysłów naszych, o ile tam się zagnieździły.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

XIII.

Przedemną stał mężczyzna niski, krępy, jasny blondyn, szpakowaty nieco. Chodził on, raczej biegał po pokoju i dopiero, gdyśmy z Tadzikiem weszli, zatrzymał się nagle, obejrzał mię surowym wzrokiem od stóp do głów i obcesowo zapytał:

— To aspan z Polski jedziesz?

— Z Polski.

— Prosto?

— Prosto.

— Nie zatrzymywałeś się nigdzie?

— Prawie nigdzie, chyba tyle tylko, żeby sobie odpocząć i konie popaść.

— To aspan swymi końmi przyjechałeś?

— Swymi.

— Mówi się do mnie zawsze i wszędzie: panie pułkowniku!

— Dobrze, panie pułkowniku!

— Czy te konie są tutaj? Ile ich jest?

— Trzy, panie pułkowniku.

— To Szwaby ci ich nie zabrali?

— Nie, panie pułkowniku, dzięki porucznikowi Wolskiemu.

— Mówił mi adjutant Skalski, że cię Miller obrabował z pieniędzy.

— Tak, panie pułkowniku.

— Chcesz więc aspan wstąpić do naszych szeregów?

— Tak, panie pułkowniku.

— Zostaniesz aspan moim adjutantem.

— Z przeproszeniem pana pułkownika, ale ja wolałbym służyć w szeregu.

Konopka spojrzał na mnie groźnie i rzekł:

— Tu nie jest Warszawa, tu aspan musisz to robić, co ci każą. Cobyś wolał, to mnie nic nie obchodzi. Masz słuchać i basta! Zostaniesz moim adjutantem. Dziś wyśpij się, odkarmij się, odpocznij, a jutro na służbę. Rozumiesz?

— Rozumiem, panie pułkowniku.

— Pieniądze twoje postaram się wydobyć od Millera. Możesz aspan odejść, a jutro o świcie stawić się tutaj. Adjutancie Skalski, zajmij się kolegą i ułatw mu wszystko, co potrzeba.

Skłonił się lekko głową i odwrócił, a ja ze Skalskim wyszedłem oszołomiony nieco tem szorstkiem przyjęciem, ale w głębi duszy zadowolony, że nakoniec należę do sławnego pułku ułanów, zwanego przez Francuzów pułkiem „lansjerów polskich“.

Skalski zaprowadził mnie do swojej kwatery, gdziem się obmył z błota i kurzu, oporządził i jako tako wyglądał na człowieka; potem zawołał swego ordynansa, który się brzydko nazywał, Błażej Brud.

— Słuchaj, Brudzie, masz pójść i wystarać się dla pana adjutanta Rudnickiego o kawał pieczeni, chleba i gorzałki. Rozumiesz?

— Taj rozumiem, panie adjutancie. Co nie mam rozumieć — zaśpiewał z podlaska Brud, drapiąc się po głowie. — Ale to będzie trudno.

— Rób, co chcesz, i nie zjawiaj się przedemną bez pieczeni, chleba i gorzałki.

— Chleb to będzie, choćby zaraz. Co do pieczeni... A kura może być?

— Niech będzie kura.

— To i dobrze. Tylko co do gorzałki, to nijak nie można. W tym szwabskim kraju skąd tu wziąć gorzałki? Wino to co innego.

— Niech będzie wino.

— Skoro tak, to duchem wszystko będzie.

Skłonił się i wyszedł.

— Skądże on tego wszystkiego dostanie? — spytałem Tadzika.

— Nie bój się. Będziesz miał kurę, chleb i wino. Już on się wystara. On w najcięższych terminach zawsze mię żywi jako tako. Chytry Podlasiak, ale ma głowę na karku. Pójdzie do dragonów, którzy jeżdżą na rekonesanse, kradną, rabują i mają wszystkiego w bród. Zna on się z nimi i wycygani, co trzeba.

Zaśmiał się swym dobrze mi znanym, szczerym, serdecznym śmiechem i dodał:

— Józik, kładź się na moje łóżko i odpocznij sobie nieco, nim się tam Błażej ułatwi z prowiantem.

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Byłem śmiertelnie znużony i ledwiem się ułożył na nieco twardej, podartej i wysiedzianej sofce, a głowę przytknął do skórzanej poduszki, zaraz zasnąłem, jak kamień.

Gdy mnie nakoniec Tadzik obudził, co, zdaje mi się, przyszło mu z niemałą trudnością, gdym oczy otworzył i przetarł, ujrzałem, ku wielkiej swojej radości, na prostym stole, z desek nieheblowanych zbitym, wspaniałą ze względu na mój głodny żołądek ucztę.

— Dalej, Józik — wołał Skalski — zabieraj się do jedzenia, bo widzę, żeś z głodu całkiem skapcaniał. Jak się posilisz, pogadamy o naszych interesach..

W jednej chwili znalazłem się przy stole i zabrałem się do jedzenia. Tadzik siedział przy mnie, patrzał na moją żarłoczność i gadał:

— Nie wiem jeszcze, co tam uradzili pułkownik Konopka z dragońskim pułkownikiem w sprawie naszych pieniędzy.

— A był dragoński pułkownik? — spytałem.

— Był i gadali ze sobą z godzinę. Ha! może co z tego będzie i Bóg-by dał, bo co do owych stu franków, które kazał pułkownik wypłacić z kasy pułkowej, to nic nie będzie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że w kasie jest wszystkiego czterdzieści dwa franki i kilkanaście centymów. Powiadam ci święta golizna i dlatego na myśl, że ten łotr ostatni Miller zabrał nam tyle pieniędzy, wściekłość mię ogarnia. A jeżeli z niego Volleben nie wydębi pieniędzy, to już ja wydębię, choćby mi przyszło skórę z niegodziwca zedrzeć.

Tadzik pożegnał mię, mówiąc, że musi pisać raport do sztabu dywizyjnego, a ja, syty, położyłem się znowu na sofie i niebawem zasnąłem, choć słońce, przedostające się przez nieosłonięte niczem okno, piekło mię nielitościwie, a muchy jesienne, których tu było mnóstwo, dokuczały mocno.

Obudziłem się o samym zachodzie słońca wyspany, rzeźwy, wypoczęty, ale taki głodny, żebym konia z kopytami zjadł. Pierwszą twarzą, którą ujrzałem, był mój Grześ, ubrany w kurtkę żołnierską ułańską, w rajtuzy i buty z ostrogami, ostrzyżony i z pałaszem przy boku.

— A ty skąd tego wszystkiego dostałeś? — spytałem zdziwiony.

Wystarałem się, panie adjutancie. Jestem zapisany na ordynansa panicza.

— A konie i wózek?

— Są, nakarmione, wyczyszczone, jak się patrzy. Ale pono pan pułkownik chcą je kupić. Oglądali je dzisiaj, ale mnie żal, bo škapska niczego.

— Zapewne, ale za cóż je utrzymam tutaj?

— O to niech się pan adjutant nie kłopoczą. Moja w tem głowa. Ja się tu już zapoznałem ze wszyćkimi; wcale galanty to pułk i chłopy są dobre. Ale co robiący, możeby pan adjutant co zjedli?

— A masz co?

— A jakże! Jest gęś pieczona.

— Gęś! Skąd u licha gęsi wziąłeś?

— Zabrałem dragonom niemieckim za to, co óni wczoraj naszą gęś zjedli.

— Dawaj ją tu!

— Duchem bandzie.

Zjawił się też i Tadzik i przyniósł wiadomość, że pułkownik dragoński Volleben obiecał śledztwo przeprowadzić w sprawie zabranego mi trzosa z pieniędzmi, zapewniał, że go odbierze i Millera surowo ukarze.

— A tymczasem — kończył Tadzik — myśmy goli i głodni.

— Głód zaraz zaspokoimy, bo mamy gęś pieczoną! — zawołałem.

— Gęś pieczoną! — krzyknął Tadzik — bój się Boga, skądże ty masz takie specjały?

Objaśniłem go, że to mój ordynans, Grześ, postarał się o to u dragonów, i gdy w rzeczy samej gęś ukazała się przed nami, z bochenkiem chleba i paru butelkami dobrego niemieckiego piwa, Tadzik, dotąd chmurny i zgryziony, rozjaśnił swe oblicze, jadł, aż mu się uszy trzęsły, pił jeszcze lepiej, Grzesia nazywał perłą i brylantem wszystkich ordynansów, prawił koncepta, śmiał się i wieczór jak najweselej spędziliśmy.

Dla dostania pieniędzy, uradziliśmy ze Skalskim, że sprzedam pułkownikowi moje konie i wózek, pozbędę się za byle co moich rzeczy cywilnych, i że jutro wyślemy kogo do Norymbergi po zakupno sukna na mundur. Wprawdzie krawiec przyniósł przerobiony na mnie Tadzika uniform, ale był on trochę ciasny i wytarty. Bądź co bądź, nim będę miał nowe szaty,w tym chodzić jakiś czas mogłem.

Tak ułożywszy nasze sprawy, poszliśmy spać, pewni, że jutro ostatecznie wszystkie nasze interesa załatwimy. Tymczasem zaszły takie okoliczności, które wywróciły zupełnie nasze plany i rzuciły nas w szereg wielkich zdarzeń historycznych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W noc wigilijną.

Szaro zrobiło się na świecie. Jakaś ciemna, przejrzysta zasłona jęła otulać białe, bezbrzeżne obszary, drzemiący bór i cichą wieś. Poprzez zamarznięte szybki okien wypatrywały dziecięce oczy pierwszej gwiazdki na niebie, lecz ta jeszcze nie prędko obiecała się ukazać. Tylko w małej chatynce na skraju wsi gdzieindziej były zwrócone oczy dzieci i nie wesołe, pełne nadziei, lecz smutne i zapłakane spoczywały na ubogiem łożu. Wychudła, blada kobieta wyciągnęła spracowaną dłoń z pod kołdry i położyła na głowie syna i córki, klęczących u łóżka. Usta jej poruszały się w cichem błogosławieństwie dla dwojga sierot, które musiała opuścić. Zimny, grudniowy wiatr zaglądał przez wybite okienko i z pewną litością gładził szorstką ręką zmarznięte dzieciny, ślizgał się po łożu chorej i próbował rozżarzyć na kominie resztki tlejącego ognia. Lecz płomyk gasł powoli, nie mając się imać czego. Zda się, dążył gdzieś za ulatującą duszą umierającej i jak ona nie mógł odlecieć. W małej ponurej izdebce o zczerniałych ścianach, wśród mroźnego powietrza, szlochu głodnych i zziębniętych dzieci, płynął cichy, przerywany głębokiemi westchnieniami szept umierającej matki:

— „Odchodzę“, bo taka wola Św. Dzieciny..., która dziś powita nędzny świat... opuszczam was sieroty najdroższe... nie będziecie miały matuli... własnej... chatynki... obcy ludzie was utulą... albo... albo... stara śmierć będzie wam matczyła..., a dziś nie będziecie miały ani drzewka... ani wilji... ale ja wam mówię..., że z za gór, z za borów... przyjdzie Boże Dzieciątko i przyniesie wam piękne drzewko, jakiego świat nie widział, zaśpiewają wam chóry anielskie... jakich ucho nie słyszało... a gdy wam będzie zimno... utuli was biała pierzynka... Boże Dziecię zamknie oczęta do snu... A ja wam mówię, że moja dusza do szczęścia was doprowadzi i nie da zginąć... Kochajcie się dzieci... Boskie Serce... Zbawiciela i Niepokalana Matko Jego miejcie Opie-kę... nad temi... ptaszynami... co... to im... z gnia... dka... ma...

Gorączkowe majaczenia chorej urwały się, w gardle zarzężało, drgnęła, wyciągnęła się i z pod martwych już powiek stoczyły się dwie duże, ciężkie łzy.

— —

— Hej Jagusiu! niema co płakać, czy nie widzisz, że matula, odeszli do Bozi, a czy myślisz, że o nas zapomni? O nie Jagusiu! — mówił z wiarą dziesięcioletni Antoś do małej siostry: Ona nam obiecała drzewko.

— Czy go gdzie widzisz?

— Nie... — płaczliwie odrzekła Jagusia.

— A może jedzie drogą Boże Dzieciątko i wiezie nam drzewko? — Nie, nikogo niema — mówiła dziecina, wetknąwszy zmarznięty nosek w dziurę w szybie:

— Tam Bozi niema... tam biało... pusto... o — tak sieroto — szeptała Jagusia, rozkładając rączęta — a może Ona nie przyjdzie?

— Przyjdzie, przyjdzie... matula nigdy nie kłamali — zapewniał chłopczyna. Ale i jemu zrobiło się jakoś smutno i straszno, że rozpłakał się na nowo, Jagusia mu zawtórowała... Nagle łzy przestały płynąć i smutnie uśmiechnęła się twarzyczka Antosia. Oto uwagę jego zwrócił dogasający płomyk na kominie. Zdawało mu się, że nikłe światełko nie zgasło, lecz mknęło z komina, przeleciało izbę i zatrzymało się przy drzwiach. Jakaś myśl błysnęła w umyśle Antosia.

— Widzisz Jagusiu to jasne światełko, tam przy drzwiach?

— Kej? — zapztała mała, włożywszy paluszek buzi.

— Tam, tam.

— Widzę, widzę.

— A wiesz ty Jagusiu co to takiego? — zapytał Antoś tajemniczo — to dusza matuli?

— A... a tak? — dziwiła się.

— Bo wiesz — mówił dalej, — nikt z drzewkiem i z wilją nie przychodzi, a jak matula gadali, to i święta rzecz, a tam już pierwsza gwiazdka świeci...

— O — o, i druga i jesce wiele — szeptała za nim.

— Więc — ciągnął dalej — to światełko, to duszyczka matusi czeka przy drzwiach na nas i pewnie zaprowadzi do Bozi. A tu tak smutno, tak zimno, a takim głodny.

— A ja tez — zawtórowała cienko Jagusia.

— No to chodźmy — rzekł stanowczo Antoś i wziął siostrzyczkę za rękę. Z trudem otwarł drzwi i świeże, mroźne powietrze owionęło dwoje malców. Światełko sunęło tymczasem po śniegu, a dzieci z trudem podążały za niem. Szły na przełaj przez pola, wpadały w zaspy śnieżne, ale jakoś zawsze wygramoliły się i napowrót kroczyły odważnie, podniecane nadzieją. Światełko było jakieś łaskawe, bo zawsze na dzieci czekało i wiernie im znaczyło drogę. Raz z pod krzaka spłoszyli wrony, które groźnem krakaniem tak ich nastraszyły, że je odbiegła odwaga. Cicho, mroźno i tajemniczo było wokoło, gwiazdy mrugały figlarnie, a na ziemię padały, goniły się, bawiły białe płatki śniegu. Mała Jagusia nie mogła nadążyć braciszkowi i usiadłszy w śniegu rzekła sennie:

— Nie mogę dalej iść.

Biedny Antoś choć niemniej zmęczony, pragnął być odważnym; więc podnosząc małą, mówił:

— Patrz, już niedaleko las, a widzisz jak duszyczka do niego dąży? — o pewnie już tam koniec.

Z trudem dźwignął ją i pół niosąc, pół wlokąc, doszedł wreszcie do lasu.

Tu było jeszcze ciszej i piękniej, bo wiatr nie hulał i śnieg nie tak gęsto padał. Uszli jeszcze kawałek... siły biednych dzieci wyczerpały się i usiadłszy pod drzewem zrezygnowane, a światełko przykucnęło naprzeciw nich i jak się Antosiowi zdawało, zaśmiało się złośliwie. Lecz on nie był już zdolny do myślenia. Było mu tak dobrze i słodko, jakby leżał w miękkiem, łóżeczku, a ukochana matula całowała go. Jagusia usnęła mu na ramieniu; jeszcze silniej przytulił ją i wpatrzył się wdal...

Z pomiędzy drzew wypłynęła złota jasność i znaczyła drogę Bożej Dziecinie, która szła ku sierotom, niosąc drzewko. Było bez ozdób, taka prosta jodełka! Ale oto stał się cud! Aniołki, które biegły za P. Jezusem, zaczęły tak cudnie śpiewać, że coś w duszy załkało i poiło się szczęściem zaziemskiem. A wtedy poczęły spadać z nieba gwiazdki i siadać wśród gałązek jodełki, śnieg stopił się od gorących promieni bijących z głowy Chrystusa i padał łzami, a gdy mroźny wiatr przewiał, zamarzły krople, niby najcudowniejsze djamenty i perły. Aniołki wyrwały po kilka piórek ze skrzydeł, złotych włosów z głów i ozdobiły drzewko. Wszystko to było tak cudne, że oczy mrużyły się od patrzenia. Antosiowi i Jagusi było miło i ciepło, bo śnieg nakrył ich do połowy i grzał jak pierzynką. Senność, spokój zapomnienia i rozkosz nieopisana ogarnęły dzieci, gdy Boże Dzieciątko pogłaskało ich sine twarzyczki i przymknięte oczy. Duchy ich uleciały w nieznane szczęśliwe krainy za duchem matki, który uprosił dla nich, to szczęście na podarek gwiazdkowy. Śnieg przysypał je do szyji, sięgał ust, uszu i nakrył głowy. I tak pod drzewem, pod pierzynką śniegu usnęły dwie sieroty snem wiecznym, a złośliwe światełko uciekło, przerażone cichym majestatem śmierci.

Po lesie rozniosła się tkliwa melodja kolendy „Wśród nocnej ciszy"; podawały ją drzewa drzewom i chóry anielskie zaniosły ją hen! ku Boskiej chwale.

Wo-nka.

Zwyczaje wigilijne na świecie.

Choinka jest zwyczajem niemieckim, który rozszedł się po całym świecie. W Ameryce w dzień wigilijny rozdają zadarmo w restauracjach i hotelach punch. W Ameryce Północnej dzień ten uważają za najszczęśliwszy do zawierania małżeństw. To też w Wigilję bywa najwięcej ślubów. W Norwegji zapraszają ptaki do stołu. Na greckiej wyspie Chios biegają dzieciaki od domu do domu z piosenkami i otrzymują orzechy. Najhałaśliwiej wieczór wigilijny jest obchodzony w Neapolu. Fajerwerki, pochody z palącem się łuczywem, iluminacje domów i gmachów, ruch, gwar, śmiechy, przerywane są głosem dzwonów, wzywających na Pasterkę. W Hiszpanji panuje zwyczaj, niepraktykowany w żadnym innym kraju: w noc wigilijną gubernator wojskowy Madrytu, oraz innych większych miast odwiedza więzienia wojenne i obdarza wolnością najmniej winnego przestępcę. Z nadejściem zmroku przed obrazami Matki Boskiej zapalają świeczki, wszyscy czuwają, aby o świcie udać się na Mszę pierwszych kurów — tak zowią w Hiszpanji Pasterkę. Po nabożeństwie Hiszpanie palą ognie, strzelają z moździerzy, śpiewają i tańczą na ulicach, a następnie spożywają dwie wieczerze: jedną postną, drugą mięsną. W wielu miejscowościach francuskich zapalają lampki nad drzwiami, które mają oznaczać Gwiazdę Betlejemską.



W noc wigilijną.

Białą szatę wdziała ziemia,
Białą szatę przywdział las...
Wszystko budzi się z uśpienia,
W szczęście smutek się zamienia
I świat pełen jakichś kras.

Księżyc gaśnie, gwiazda wschodzi
W wigilijną cudów noc...
Bóg się rodzi, Bóg się rodzi...
Wstańcie starzy, wstańcie młodzi
Czerpcie nową w dusze moc!

Szczęściem wzbiera ludzkie łono,
Bo się iści wielki cud...
Dziwnym blaskiem oczy płoną
I w noc bielą ustrojoną
Do stajenki zdąża lud.

Idą starce, idą młodzi
Zasypanych szlakiem dróg,
Bo im gwiazda jasna wschodzi,
Tam, gdzie Zbawca dziś się rodzi,
Gdzie na ziemię zstąpił Bóg!

Antoni St. Bassara.

DO SZOPKI.



Wszystkie przepowiednie proroków wskazywały na to, że w ziemi żydowskiej narodzi się Dzieciątko, aby poniósłszy mękę najokrutniejszą, odkupić świat i zgotować ludzkości szczęśliwość największą w niebie u stóp Boga Ojca. Prorocy, którzy żyli tuż przed przyjściem Zbawiciela, głosili, iż chwila ta jest niedaleka, a święty Jan Chrzciciel oznajmiał najwyraźniej, że chwila ta już nadchodzi. Przepowiednie te przedostawały się również do pogan, a kiedy narodził się Zbawiciel w stajence Betlejemskiej i zajaśniała gwiazda nad szopką, zrozumieli pogańscy monarchowie, że przyszedł Król nad króle, Pan nad pany i czemprędzej podążyli w kierunku, w którym ich gwiazda prowadziła. A gdy przybyli do szopy i zobaczyli święte Maleństwo, złożone w stajence na sianku, nie zdziwili się, iż Syn Boży w takiej nędzy spoczywa, ale hołd Mu jako swemu Panu złożyli. Poganie uwierzyli w przepowiednie proroków Bożych, a tymczasem żydzi z Herodem na czele Zbawcę swego na śmierć okrutną wydali. To też może dlatego teraz ci, których praojcowie byli poganami, bliżej stoją Zbawiciela, aniżeli ci, z pośród których Zbawiciel ten się narodził. Żydzi, jak za czasów Chrystusa na ziemi, tak i dziś w Niego nie wierzą, choć im przyjście Jego ich właśni prorocy jak najdokładniej przepowiedzieli.

Wigilja Walka.

Cała okolica go znała, jako nałogowego pijaka. Miewał często napady, a wtedy opuszczał żonę i chałupę. Zabierał ze sobą co się tylko dało. Nawet parę razy koszulę ze siebie sprzedał na wódkę. Zawsze szedł na „jednego", a do tego „jednego" przypijał po jednemu, aż stoczył się pod ławę, albo wychodził, zataczając koła. Wpadał w kałużę błota. Włóczył się po wsi, a dziatwa wiejska churmem biegła za nim, wołając: „Zaśpiewajcie co Walenty, zaśpiewajcie", a Walek odgrażał laską i nibyto śpiewał, a raczej bełkotał:

Ide od Borucha, suka na mnie sceko,
Nie scekoj ty suko, bo cię bida ceko.

Co go obchodzili ludzie, że się patrzą na niego i litują. Co go obchodziło, że gorszył młodzież, swojemi postępkami. Co go obchodziła żona, płacząca i załamująca ręce, prosząca go, żeby zaniechał tego przeklętego pijaństwa. Nic go nie obchodziło, i nikogo nie słuchał. Upominał go ksiądz, rozmawiali ludzie, ale nic nie pomogło. Szalał, pił, jak opętaniec. Nie było w domu nic, już, wszystko wyniósł na wódkę. Nie było na raz co do ust włożyć, tyle co kobiety z litości przyniosły Hance... To też i dzisiaj przyszedł Józef Śliwa, który jej przyniósł parę drzewek i zapalił w piecu, gdyż mróz silny, a Hanka, zbita, skostniała leży na gołej słomie na łóżku.

W szary świt, poszedł Walek do stajni, wyprowadził ostatnią krowę, i ciągnie w stronę lasu, ku karczmie. Wybiegła Hanka w koszulinie i boso, prosząc go, by wrócił, a on:

— Idź, bo cię zabiję.

— Choćbyś mnie zabił, krowy nie dam: krowa moja, tyle mam jeszcze po matusi.

Złapała krowę za rogi i trzyma, a Walek patrzył na nią, takiemi oczami, jak gdyby w nich mieściło się całe piekło. Mówi mu:

— Waluś, dziś wigilja Bożego Narodzenia, taki ważny dzień, a pomyśl, czyś rąz w życiu uczcił go. Wróć się. Nie chodź nigdzie.

— Hanka, puść krowę.

— Nie puszczę, zabij, a nie puszczę.

Pchnął ją tak silnie, że wpadła w zaspę śniegu. Zerwała się i biegła, zastępując mu drogę. Uklękła na śniegu, wyciągnęła ręce, jak do świętego obrazu i nie odezwała się słowa, jeno patrzała błędnemi oczami na niego. A on, kopnął ją w piersi, i laską uderzył w głowę. Wpadła w śnieg. Po niejakim czasie przyszła do przytomności i na kolanach zawlekła się do izby. A gdy się trochę ogrzała, poprosiła Śliwę, aby ją odwiózł do siostry na drugą wieś, gdyż się źle czuje. Wychodząc z domu, zdawało się jej, że już ostatni raz przekracza te progi, w których nie zaznała ani jednej iskierki szczęścia. Jako córka zacnych i zamożnych rodziców, wyszła wbrew woli rodziny za Walka, a on, prawdopodobnie rzucił jakieś czary na nią. Był piękny i wesoły. Przyjechał ze Saksów, umiał się kłaniać, tańczyć. I tem podbił serce Hanki.

Walek pędził krowę za las do karczmy. Wprowadził ją do stajni, a sam poszedł do izby.

— Boruchu dajcie jednego, zmarzłem jak siarcysty

— A to wyście już tu Walenty?

— Na szczęściem, tak przyszedł.

— Ale wcześniej wychodźcie z karczmy, byście nie wpadli w djabelskie figle, jak zeszłej wigilji — zagadnął go Kalita, który wyjeżdżał do pociągu po syna i wstąpił po tytoń.

— Kalita, cicho bądź, jak chcesz być zdrowy na święta.

— Widzisz go: odgraża mi się dziś, ażeby nie ja, tobyś już rok gryzł piasek koło cmentarza w rowie. Powiedzcie mi Walenty prawdę, jak to było zeszłej wigilji, bo wtedy, jakem was znalazł, toście mało dychali, a ludzie potem rozmaicie mówili.

— Powiem wam, ale jak się napijecie ze mną.

— Ja nie piję nigdy, to i dziś.

— Aj waj — ozwał się żyd — Kalita to go nigdy nie pije, Kalita zawsze skąpy na kieliszek wódki, Kalita sobie żałuje, a w dziecki pcha wszystko i robi ich panami. A czy to jeden zaszkodzi? Dziś taki mróz, to i kiszek trza pogrzać.

— Na kiszki miałem ciepłe śniadanie, a na skórę — kożuch.

— Wiwant, do was Kalita, oto powiem wam: Troszkę się ta łońskiej wilije napił tum u Borucha, i trochę późno w nocy poszedłem do chałupy, a było ciemno, jakby kto oczy zakrył. Szedłem prędko, bo i Hanusia pewno czekała na mnie z postnikiem. Jakem wszedł w las, tak mi się słabo zrobiło, żem se siadł pod tymi sosnami, na górce, przy skręcie drogi. Patrzę, a tu podjeżdża powóz takusieńki, jaki widziałem w Prusach. Czarny, w czarne konie zaprzągnięty. Stanął przedemną i wyskoczył z niego pan, a był ubrany z niemiecka.

— A co tu robicie Walanty? Siadajta, to was do chałpy podwiozę.

Nie trza było mi mówić dwa razy. Wstałem i wścibiłem się do powozu. A tu czarny pan jak gwiźnie, to konie tak poniosły, równo z wiatrem. A było mi ciepło, i jechałem jak jaki pan. Ale mi się ta jazda wydawała za długa. Chciałem zawołać, alem nie dał rady. Boruch dajta wódki, muszę popić.

— A widzicie Walenty, jak was Pan Bóg pokarał. Porządnie was djablisko powiezło, ha, ha, ha... A wiecie, że ja was znalazł?

— Wiem.

— Ja sobie idę do kościoła rano w Boże Narodzenie, patrzę śnieg starasowany koło kilku sosenek, wkoło, jakby ze sto razy parą końmi przejechał. Myślę sobie: ktoby tutaj takie harce wyprawiał? Idę dalej, a tu Walenty leży mało żywy, z podartem ubraniem i ciałem pokaleczonem. Jeden but wyzuty, drugi ledwo wisi na nodze. Oj Walenty... Djabeł was za nogi darł koło sosenek, ażeście podskakiwali, a wam się widziało, że na puchach w powozie siedzicie, i wspaniale się unosicie... Dziś bądźcie ostrożniejsi i wcześniej idźcie do domu.

— Pójdę wcześniej do Hanusi, ja, ją lubię, choć ona się gniewa, że piję. Ale ja nie mogę wytrzymać. Piecze, pali w piersiach jak niema gorzałki. Dlaczegoż ja nie mogę pić, jak mi się chce. Djabła się nie boję, siedzi on u mnie pod piecem, jak ten kot na przypiecku. Gdy w domu Hanusi niema, to wychodzi do mnie i rozmawiamy. Ale jak mu tą laską pogrożę, to ucieka, tylko ogonice wtuli między kosmate łapy. Boi się łaski, bom ją poświęcił jeszcze za kawalerskich czasów na odpuście.

Nie zważał Walek na upomnienia Kality i dosyć późno wyszedł od Borucha. Idzie, a co krok wpada w śnieg, przewracając się, a gdy doszedł do tego miejsca, gdzie djabeł woził, krzyknął:

— Nie boję się ciebie djabliku. Dziś się porachujemy.

I zaczął hukać z całej siły, a echo odbijało i niosło, Wpadał w rów, klnąc na Hankę, że go popycha.

— Ach zabiłbym ją za to.

Nareszcie przywlókł się do domu. Otworzył drzwi i zawołał ostrym głosem:

— Hanka, wiecerza jest?

Ciche milczenie było odpowiedzią.

— Hanka zaświć! Nie chcesz? Ja sam zaświecę. A tobie djabełku za twoje figle zapalę drzewko.

Wziął parę garści słomy z łóżka, włożył pod piec, zapalając ją.

— Grzej się djable, boś zmarzł. Podświecił słomę na łóżku i wyszedł na pole. Zaświecił zapałkę, przytknął do strzechy nad szopą.

— No, teraz się ogrzeję.

Zacierał ręce i śmiał się. Wszędzie było już po postniku, a z każdego domu dochodziły głosy wesołych kolend: „Bóg się rodzi, moc truchleje".

W Boże Narodzenie, Kalita i kilku innych gospodarzy idąc do kościoła na ranną Mszę, zobaczyli na samotnej sośnie, w tem miejscu, gdzie Walka woziło, ostygłe i zsiniałe ciało Walka, miotane silnym wiatrem... który wył, skomlał i skowyczał.

Jakie życie, taka śmierć.

Maryśka z Kamionki.



Idę w dal...

Poświęcam Panu S. M. miłośnikowi szczerej pracy. *Autorka.*

W cichy, piękny wieczór księżycowy, w miesiącu czerwcu, gdy słowiki ostatnie akordy swe trele kończą, siedziałam smutna i zadumana, a duszę mą ogarniał niezgłębiony ból... Było mi przykro, że tyle jest ofiar fatalnego losu, którzy nie mają możności rozkoszowania się cudami natury. Myślą objęłam tych wszystkich, co w brudnych i wilgotnych suterenach pędzą marny żywot — co nie mają za co kupić kawałka chleba, by nasycić bodaj główne objawy głodu...

Ból ściskał serce kleszczami na myśl o tej ludzkiej ciężkiej niedoli...

Wiosna, lato, zamożniejsi wyjadą w lasy, w góry, by zaczerpnąć świeższego powietrza, i na łonie matki natury zapomnieć trosk i bólów, a ci biedacy zostaną w swych norach, gdzie słońce niema dostępu, a dzieci ich chore, zmizerowane muszą oddychać przepojonem gorącemi wyziewami powietrzem...

Choć księżyc świecił, choć gwiazdki migotały, słowiki tęskne i rzewne nuty śpiewały, a robaczki świętojańskie niby złoto świeciły, mnie było smutno, bo czułam ból i opuszczenie tych z doczesnego dobra wyzutych nędzarzy...

W taki cichy, pogodny wieczór czerwcowy, powstała w mej głowie myśl, by wszelkiemi sposobami i możnościami ułatwiać tym biedakom ich cierpki ciąg żywota.

Postanowiłam wszelką siłą pomagać im, pokrzepiać ciepłem słowem i dać im całe swe serce w ofierze za ich opuszczenie, a w zamian za to mówić z nimi o pięknie, które dla ich znękanych dusz jest niewidzialne...

I idę wciąż przed siebie, choć napotykam nielada trudności przecie się nie zrażam.

Widzę jasny horyzont, który mię pociąga ku sobie...

Przedemną jeszcze droga daleka i uciążliwa, choć tyle już przeszłam jeszcze mi wiele pozostaje...

Widzę, droga ma usłana cierniami i nie sposób ich ominąć, ale nie zrażam się, przetrwam i zdążę do tej wymarzonej ojczyzny szczęśliwości...

Jeśli zwątpienie ogarnie mą duszę, wstrzymam się i opatrzę o ten odrębny świat, a pierzchnie wówczas wszelkie zniechęcenie, li tylko silna odwaga zostanie...

Jeżeli cierń ukłuje mnie w tej wędrówce, to krew, co z rany wypłynie, niech znaczy ślad tym, którzy po tej drodze pójść zamierzają...

Bo ciężką jest ta droga, którą obrałam i niepopłatną, ale zaszczytną, gdyż wiedzie ducha w niedostępne krainy możliwości ziszczenia się legendarnych cudów... I idę tak w tę niedosiężną dal, unosząc w piersiach smutek, ból i żal. *Maryla „Widz".*

POGRZEB ŚW. SZCZEPANA.



Gdy rozniosła się wieść. iż narodził się Jezus Chrystus, Pan i Król całego świata, zatrwożyli się możni o swą władzę i swoje dostojeństwa. Pomimo, że Pan Jezus, kiedy dorósł i zaczął nauczać, objaśniał ludowi, iż królestwo Jego nie z tego świata, obawiali się monarchowie, aby On ich kiedyś nie pozbawił tronu i Sam na nim nie zasiadł. Ponieważ Pan Jezus karcił wszelkie wyuzdanie, ponieważ potępiał zbytki, obawiali się nauk Jego ci, którzy rozkosze ziemskie przekładali nad zbawienie wieczne. Lgnęła Doń wszelka biedota i rozkoszowała się naukami Jego, gdyż te nauki niosły jej zbawienie i wskazywały prawdziwy cel życia ludzkiego. Ale to właśnie nie podobało się możnym tego świata. Głupcy chcieli zniszczyć naukę Jezusa Chrystusa zaraz w zarodku, jakgdyby ona wogóle zniszczyć się dała. Mniemali w swojem zaślepieniu, - że zdołają wytępić wyznawców tej nauki, a jeżeli ich wytępią, to z niej samej nic nie pozostanie.

Nie wiedzieli o tem, że krew świętych Męczenników będzie tem ziarnem, które w przyszłości wyda stokrotne plony. Pierwszą ofiarą okrutnych siepaczy padł św. Szczepan haniebnie ukamieniowany za to jedynie, iż odważył się wierzyć w prawdziwego Boga i cześć Mu należną oddawać. Garstka wiernych, jak to widzimy na naszym obrazku, wzięła potajemnie święte zwłoki na swe barki i poniosła je do pieczar podziemnych, katakumbami zwanych, gdzie je złożyła na wieczny spoczynek i na wieczną chwałę. Na zwykłych noszach, sporządzonych z kilku kawałków drzewa ponieśli współwyznawcy zwłoki świętego, otoczone jasną aureolą, na miejsce wiecznego spoczynku. Przed nimi i za nimi postępowała garstka ludzi, złożona z starców niedołężnych i słabych kobiet, to jest tych właśnie do serc, których najłatwiej trafiały wielkie słowa Zbawiciela świata.

Śmierć i pogrzeb świętego Szczepana były tem ziarnem, z którego wyrosły wkrótce tysiące gorliwych wyznawców nauki Jezusa Chrystusa, gotowych w każdej chwili oddać swe życie za wiarę, którą całem sercem ukochali. Dla wielu z nich chwalebna śmierć świętego męczennika była przykładem, z jaką radością trzeba cierpieć i życie oddać za świętą wiarę Chrystusową.

LUDWIK ST. UNSING.

Wskrzeszenie Łazarza.

III.

Propozycja syna Setha.

W pałacu Ponckiego Piłata, słynącym z wytworności i przepychu, pracował mistrz Łazarz nad wykonaniem posągu w marmurze, za zezwoleniem rządzącego arcykapłana Kaifasa, na prośbę wielkorządcy. Na ten cel przeznaczono mu olbrzymi portyk wsparty na kręconych kolumnach, będący wieczorem miejscem gawędy i wytchnienia rodziny Piłata. Portyk dotykał ogrodu rozłożonego na tarasie, skąd roztaczał się rozkoszny widok na aleje drzewiaste biegnące rondem, i na fontannę osadzoną krzewami cyprysów, wśród kłąbów wonnego kwiecia.



— Salve! — pozdrowił Piłat mistrza.

Z alei krokiem przechadzki wychylił się Pontius Pilatus, w towarzystwie młodej dziewicy. Był to człowiek już starszy, cery śniadawej, o twarzy przeżytej, pełnej zgrzybiałości i bruzd, uwydatniających się wyraźniej przez golony zarost i krótko strzyżone włosy. Postawę miał piękną, muskularną i pierś wyrobioną, rysującą się pod fałdami oliwkowej tuniki. W trakcie rozmowy, zbliżali się ku portykowi.

— Nie wątpię, że Kafarnaum ma piękniejsze ogrody, jako gleba lepiej nażyźniona — mówił Piłat do dziewicy. — Ale czego nam odmówiła przyroda, sztuka ludzka to uzupełnia.

— Jestto wiadomem szeroko — odrzekła dziewica. — Macie tu wielu znakomitych muzyków.

— Tak. Przeważnie Greków.

— I budowniczych. Gmachy wasze wspaniałe, rzeźby to cud świata, a zapewne będą tu i lekarze, sławniejsi od tych na północy.

— Tego nie wiem. Coś tu jednak słychać o cudownych uzdrowieniach dokonanych przez jakiegoś Chrystusa.

— To tylko pogłoska — odrzekła dziewica. — W Kafarnaum rozpowiada o Nim lud jakoby czynił cuda, ale wezwany do ojca mojego, odmówił leczenia go.

— Nie chciał leczyć wielkiego tetrarchy? Wszakże mógł być pewien sowitej nagrody.

— Zaiste, ale bał się zdradzić ze swej bezradności. Arcykapłan Annasz przestrzegł nas, że jestto szarlatan i oszust.

— To mnie bynajmniej nie zadziwia — odparł Poncjusz. — Palestyna przepełniona jest oszustami we wszystkich stanach. Ale nie wątpię, że ogłoszenie wasze ściągnie lekarzy z Rzymu, lub mędrców z Egiptu. Jednakże, co ciśnie mi się na usta... są tu i wielcy ludzie... W tym portyku pracuje pewien izraelita, niezrównanej inteligencji, jedyny, może w całej Galilei. I dziwię się, że w Izraelu, na glebie orgji i nienawiści zrodzić się mogą takie genjalne dusze...

— Bo czuwa nad nami jeszcze wyższe Światło.

— W takim razie spływa ono bardzo skąpo, albowiem dość jest rzucić okiem, aby stwierdzić ciemność i zdziczenie. Więc dziwią mnie potężne wyjątki i ten oto człowiek.

Z poza gęstego welonu, okrywającego twarz dziewicy, padło ciekawe wejrzenie na mistrza ryjącego w marmurze. Był piękny i ujmujący jak tchnienie wiosny, o rysach subtelnych nie zeszpeconych obłudą. Ze źrenic, poprzez skupienie przedzierał się luby smętek, wzbudzający sympatję i prosta ale głęboka szczerość. Zdawało się jej, że między nim a owym szarlatanem z Nazaretu zachodzi pewna jedność, przynajmniej na zewnątrz.

Wyrazem „salve" pozdrowił Poncki Piłat młodego mistrza, a mając dla niego cześć istotną, przedstawił mu córkę tetrarchy górnej Galilei i wymienił imię Zara. Uczynił to, jakkolwiek postępek taki mógł być poczytanym za obrazę godności dostojnej Zary, której przedstawiane dotąd osoby, stały na wyżynie władzy i wpływów. Ale dziewica zrozumiała postępek namiestnika, tak samo jak on go zrozumiał i odczuwała nawet pewne zadowolenie, że dumny Rzymianin, żywiący głęboką pogardę dla żydów, chociaż jednego wyszczególnia. I uniosła nieco zasłony z twarzy, aby się lepiej przyjrzeć Łazarzowi.

Wtedy to młody mistrz, mający zawsze czar w swójej fantazji, popadł w zachwyt na widok pięknych jej rysów.

Stała przed nim pełna rozkwitu, jak rajski kwiat opromieniony purpurą zorzy, z jasną pogodą w obliczu.

Oczy miała duże ciemne, pełne szczerości i czaru, który młodego żyda na wskróś przejmował. Widział jasne czoło, jakby wykute z alabastru, delikatny nos grecki, wąziutkie, lekko rozchylone i różowe jak kwiat hyacyntu usta, w których lśniły się bielutkie, równe rzędy ząbków. I wydało mu się, że ta piękna twarz jest mu tak bliska, tak swojska, jakgdy ją widywał bez przerwy w swych fantazjach, w parku Getsemani, a zarazem czuł, że wpada w duszę jego dziwny płomień, którego ciepło sprawia mu rozkosz, jakiej nigdy przedtem nie odczuwał.

Omal, że nie podniósł okrzyku najwyższego zachwytu i zdumienia zarazem. Zara spuściła welon na oczy i jakby w dowód swojej życzliwości wręczyła mu żonkilę (narcyz). Działo się to podczas gdy Poncki Piłat napawał się widokiem swej okazałej uolbrzymionej postaci, wykutej w marmurze.

Ponieważ pałac jego krył w sobie więcej jeszcze osobliwości godnych widzenia, przeto pożegnawszy mistrza uprzejmie, poszedł ze swym gościem dalej w głąb pałacu.

W chwilę później, nim jeszcze Łazarz zdołał przyjść do siebie, zjawił się w portyku olbrzym Malchus, zaufaniec arcykapłana Annasza, z poleceniem, aby mistrz niezwłocznie przybył do świątyni. Jakoż posłuszny wezwaniu, stawił się w oznaczonem miejscu. Syn Setha oczekiwał go już w komnacie przyjęć, w pełnych szatach swojego urzędu.

Był już w wieku podeszłym, jednakże dobrze zachowany, twarz miał gładką bez zmarszczek, okoloną siwą brodą, czoło wysokie, do połowy zasłonięte srebrzącym się włosem, gęste brwi, z pod których wyzierały dwa płowe światełka ruchliwe bezustannie, nos długi, kończasty i usta na których błądził w pół sztuczny uśmiech. Wyraz twarzy zdradzał przesadzoną powagę, z domieszką samolubnej wyższości. Badawcze oko syna Setha spoczęło uważnie na młodym mistrzu, sztuczny uśmiech na tle rozlanej powagi zaznaczył się wyraźniej.

— Tyżeś jest synem zgasłego urzędnika Sanhedrynu?

— Jam jest — odrzekł Łazarz.

— Nie przeczę, że przedstawiałem sobie ciebie o wiele gorzej — mówił syn Setha — chociaż w ostatnie czasy zasłynąłeś w Judei jako dobry budowniczy i rzeźbiarz. Tylko, że wysługujesz się poganom takim jak Piłat i robisz im plastyczne posągi, jakby wbrew ustawom!

— Bo na to otrzymałem pozwolenie rządzącego Kaifasa — odparł mistrz zdumiony.

— No tak! Przecie nie możemy zadzierać z panterą, której samowola każe deptać święte prawa. Owo, aby dać ci możność zużytkowania twego talentu dla dobra narodu, powierzę ci niektóre przeróbki w świątyni. Wiem, że jeśli taki poganin jak Piłat i nasz wróg osobisty, wynosi cię aż po Eden, to u nas zasłużysz na to tem pewniej. Ale nie to jest powodem, dla którego cię tu wezwałem. Pójdź bliżej.

Na twarzy mistrza odmalowało się zdziwienie, pomieszane z ciekawością.

Arcykapłan polecił mu usiąść, poczem rzekł:

— Znasz winnicę pod twierdzą millońską?

— Tak. Jest bardzo piękna i rozległa.

— Owo ojciec twój, który w Radzie Sanhedrynu za życia swego doszedł dość wysoko, miał chęć nabyć ją na własność. Ale, że zbyt jeszcze mało znaczył i nie miał wpływu, dlatego winnica przeszła w ręce możniejszego, a potem stała się moją własnością. Ja zaś, mając ogólne dobro na oku, chcę abyś ty był właścicielem tej winnicy, która odrazu uczynić cię może wielkim i bogatym. Jesteś człowiekiem, którego nimb sławy dotknie lada chwila, lud cię kocha, a przytem masz wymowę płynną i piękną postawę, mógłbyś zatem niejedną przysługę oddać Zakonowi. Czasy obecne to podwójna walka — wiedz o tem. Ale niech nie schodzę z drogi — chcesz mieć tę winnicę?

Budowniczy rozumiał, że chodzi tu o zwyczajne kupno, a ponieważ tak piękna winnica, położona w dzielnicy możnych i uprzywilejowana, musiała być zarazem bardzo droga, — chciał ją widocznie nabyć jakiś cudzoziemiec, przed którym arcykapłan dawał mu pierwszeństwo. W duchu więc chwalił zasadę Annasza, ale że nie był na tyle bogatym — odrzekł:

— Winnica jest tak piękna, że nie wahałbym się ani chwili... jednakże nie mam tyle złota...

— Będziesz płacił srebrem. Oddam ci ją za sześć tysięcy sekli.

— Ile synu Setha? — spytał mistrz zdumiony.

— Sześć tysięcy sekli srebra — odrzekł Annasz spokojnie.

— Wszakże zwyczajna winnica w Betanji więcej dziś kosztuje...

— Nie przeczę. Wszelako chcę ci iść na rękę, chcę cię podnieść i doprowadzić do znaczenia...

Atoli budowniczy zamilkł. Propozycja arcykapłana, jakkolwiek świetna, mogła jednakże stać w związku z żądaniem, z którym nie mógłby się zgodzić. Dlatego nie chciał odpowiedzieć, jak długo rzecz się nie wyjaśni.

Syn Setha począł się niecierpliwić.

— Zali na to potrzebujesz się namyślać?! Winnicę możesz objąć zaraz od jutra. Ma ona jeszcze i tę własność, że jest wolna od filoksery.

Budowniczy walczył chwilę między nieśmiałością a tem co cisło mu się na usta — wkońcu rzekł:

— Nie wiem, czego odemnie żądasz Rabbi... Twoja propozycja jest aż nazbyt świetnia, abym się nie miał wahać, zali będę mógł spełnić warunek, jaki z sobą wiąże...

— Zaprawdę, nie grzesz swą skromnością! Potrzeba nam ludzi takich jak ty, aby w czasach podwójnej walki umieli bronić Zakonu... oto warunek. A ponieważ ludzie ci, nietylko, że muszą być bogaci, ale także powinni mieć w ręku władzę ponad tłumem, przeto potrzeba jest, abyś wstąpił w związki małżeńskie, iżbyśmy cię mogli wcielić w Radę Sanhedrynu. Wiedz także, że ci przeznaczam dziewicę piękniejszą od zorzy...

— Przebacz mi Rabbi — odrzekł budowniczy zmieszany. — To mnie jeszcze nie objaśnia... Nie wiem, z kim mam walczyć i nie wiem, jaki jest rodzaj tej podwójnej walki. Biorąc obowiązek, muszę być zarazem pewien własnej udolności...

— No tak. Gdybym jednakże ja nie był tego pewien, nie byłbym cię wybrał... Naprzód odbierz winnicę, pojmij żonę...

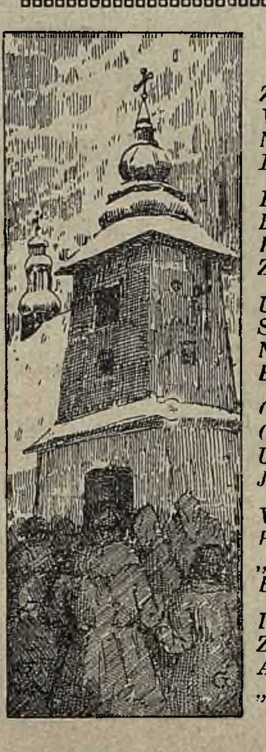
— To wymaga namysłu... przebacz Rabbi... Mam jeszcze siostry niezamężne, które o niczem nie wiedzą.

Syn Setha uśmiechnął się złośliwie, ale na namysł przystał.

— Jutro, przed zachodem słońca przynieś mi odpowiedź...

Wobec tego budowniczy zabierał się do wyjścia, jednakże arcykapłan zatrzymał go.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Na Pasterce.

Z dalekich stron po śniegu i grudzie
W noc ciemną do świątyń podążają ludzie,
Nie pomni na mróz, wicher i zawieje,
Bo się ziszczają dziś świata nadzieje.

Bo dziś im jasna gwiazda szczęścia wschodzi,
Bo dziś w stajence przecież Bóg się rodzi,
Który cierpiących pocieszy w niedoli,
Zagoi ranę, co tak bardzo boli.

U drzwi świątyni czekają w pokorze,
Szepcąc: Miej litość, o Dzieciątko Boże,
Niechaj Twe ucho dziś wśród nocnej ciszy
Pokorne prośby nieszczęsnych usłyszy!

O podnieś rączkę niebieska Dziecino,
Obetrzyj te łzy, które z oczu płyną,
Ulżyj tej ciężkiej życiowej tęsknocie,
Jezu nasz mały, Anielski klejnocie!

Wtem jęknął organ i z piersi tysiąca
Płynie ku niebu pieśń szczęścia gorąca:
„Hej betleemska jasna gwiazda wschodzi,
Bóg się w stajence wśród bydlątek rodzi!"

I radość błyska wszędzie dookoła,
Zniknęły smutki już z ludzkiego czoła,
A z serc do nieba szczęścia słowa płyną:
„Żyj nam i króluj niebieska dziecino!"

Antoni Socha



JÓZEF RUFFER.

CHOINKA.

(Baśń świąteczna.)

Był jeden bogacz.

Bardzo wielki bogacz.

Miał ogromny złocisty pałac, nikogo do siebie nie wpuszczał. Tylko służba jego snuła się pokornie po wspaniałych kurytarzach, pełnych kwiatów i krzewów osobliwych, nigdzie indziej nie widywanych. Na krzewach tych i kwiatach przysiadywały stubarwne, śliczne ptaszki, fruwające swobodnie to tu, to tam.

Kiedy samolubny bogacz wychodził ze swego pałacu, zdarzało się nieraz, że nędzarz jakiś, że kaleka lub starzec niedołężny, stał właśnie u bramy, i ujrzawszy bogacza, wyciągał rękę o wsparcie.

Bogacz rzucał nań złem spojrzeniem, podnosił do góry biczyk ze złotą rękojeścią, biczyk, którym zwykle karcił psy swoje i zimnym gestem odpędzał nędzarza.

Ilekroć odpędził takiego biedaka, cząsteczka serca jego kamieniała.

Wielu już nieszczęśliwych od bramy pałacu swojego odegnał i serce jego coraz bardziej przerastało kamieniem.

Aż raz w zimowy dzień stanęła u bramy pałacowej bogacza biedna kobieta.

Była bardzo blada.

Miała dobre, niebieskie, święte oczy.

Na ręku trzymała maleńkie, śliczne dzieciątko, o jasnych włoskach, o wielkich, niebieskich, niebiańskich oczach.

Dzieciątko było blade i mizerne, jak jego matka, oparta o bramę, nie mogąca ustać o własnych siłach.

Bogacz wychodził właśnie.

Był to śliczny, zimowy dzień, skrzący się iskierkami słońca w śniegu, dzień pierwszy Bożego Narodzenia.

Bogacz wychodził, a w ręku miał biczyk ze złocistą rękojeścią.

— Panie, jęknęła cicho matka, patrząca błagalnie na bogacza — giniemy z głodu, moje dzieciątko i ja. Poratuj nas panie.

I czworo niebiańskich oczu: matki i dzieciątka, wpatrywało się w oczy bogacza, czekając ratunku.

Lecz zły bogacz podniósł biczyk i sieknął niemiłosiernie: czerwona pręga wyskoczyła na ręce matki i na twarzyczce dziecięcia.

W tej to chwili skamieniała ostatnia żywa cząsteczka bogaczowego serca.

I, nie oglądając się, poszedł przed się z sercem kamiennem, poszedł krokiem żwawym, by odbyć codzienną przechadzkę dla zdrowia.

Kiedy wracał, u bramy nie było już matki i z dziecięciem.

Wszedł bogacz do swego pałacu z sercem zupełnie skamieniałem, raźny, wesoły.

Uśmiechnął się, widząc prześliczne ptaszki, fruwające po kurytarzach i przysiadujące na nieznanych gdzieindziej krzewach, pozwolił łaskawie służalcowi zdjąć ze siebie drogocenne futro, kazał gestem otworzyć sobie drzwi do ulubionej komnaty, w której miał ukryte w ścianach skarbczyki.

Wszedł — i nagle stanął olśniony!

Zatrzasnął czemprędzej drzwi za sobą:

Na środku komnaty stała ogromna aż pod sufit choinka. Skrzyła się od zawieszonych na świeżych gałązkach brylantów, wielkich jak orzechy, mieniła się od rubinów, topazów, szmaragdów, szafirów, ametystów, ociekała perłami, nęciła świecącemi do oszołomienia dukatami.

Przez chwilkę stał bogacz niemy, a potem sprężył się jak drapieżny zwierz, palce zgięły mu się chciwie, jak szpony i rzucił się na skarby!

Zrywał! zrywał!

Zrywał brylanty ,rubiny, topazy, szmaragdy, zrywał perły, dukaty: co wpadło w ręce! i tkał w kieszenie, tkał!

A kiedy kieszenie wypełnił, zaczął otwierać po kolei zamaskowane w ścianach skarbczyki i zanosić tam pełne garście klejnotów, dukatów i pereł.

Gdy wypełnił po brzegi wszystkie skarbczyki, zaczął ciskać zdobycz w kąty komnaty.

A skarbów z choinki nijak nie ubywało.

I dalej zrywał rozpromieniony bogacz te skarby bajeczne.

Pot zaczął wielkiemi kroplami występować na jego czoło. Sapał z utrudzenia: pracował bo już tak od kilku godzin.

Przysiadał na chwilkę, a potem rzucał się znowu ku choince.

Po kątach komnaty leżały już wielkie kupy skarbów, a choinka wciąż była pełna i pełna!

Minął dzień i wieczór i zaczęła się noc.

Drzwi wszystkie pozamykał był bogacz na cztery spusty, zakazawszy wprzód służbie dostępu do siebie. I zrywał dalej przez całą noc i dzień i znowuż noc, brodząc wśród skarbów, wyczerpany niemiłosiernie, wciąż jednako chciwy i drapieżny. Coraz częściej jednak musiał odpoczywać.

Chciał już przestać, ale nie mógł oprzeć się potężnej pokusie i znowu się zrywał i utrudzonemi, pokaleczonemi na szpilkach choinki rękoma rwał dalej skarby.

Nareszcie, gdy zaczęła się doba trzecia, nad ranem, bogacz bezsilny, udręczony nadmiarę, ujrzał nagle z przeraźliwą jasnością, w jakiej to strasznej i złej mocy popadł szpony i jęknął błagalnie, ze wszystkiej swej istoty:

— Jezu miłosierny! Jezu miłosierny!

Jęknął tak, że zmieścił w tym jęku skruchę najgłębszą i żal za całe swoje bogacze życie.

I oto stał się cud:

Kamienne jego serce nagle odżyło, a z choinki zniknęły wszystkie drogie kamienie, zniknęły brylanty, szafiry, topazy, rubiny, ametysty, zginęły perły ogromne, zginęły świecące drapieżną ponętą dukaty: ostała się naga, nagusieńka, zielona, śliczna choinka, rozszedł się zapach żywiczny po komnacie, zmienionej w ubogą szopę, a z pomiędzy gałązek choinki, z boku wyjrzała dobrotliwa niewiasta: Matka z Dzieciątkiem, ta sama, którą tak niemiłosiernie sieknął biczykiem, wychodząc z bramy swojego pałacu.

Padł bogacz oszołomiony, z oczyma wpatrzonemi w anielskie zjawisko.

A tymczasem Matka postawiła Dzieciątko na ziemi i Dzieciątko ruszyło z rączką podniesioną, błogosławiącą ku bogaczowi. Patrzyło nań bożemi oczami i bogacz poczuł, że Niebo ku niemu się zbliża.

Zaczął przymykać powieki, coraz bardziej, coraz bardziej, z uśmiechem niewysłowionego szczęścia. A kiedy Dzieciątko zbliżyło się doń zupełnie i położyło rączyny obie na jego oczach, zamknął je i usnął.

...Obudził się, prowadzony przez Dzieciątko z idącą obok Matką.

O Miłosierdzie niewyczerpane!...

Szli we troje, za ręce, przez Łąki Niebieskie.



MACIEK BZDURA GADA:

I dzisiaj, jak w każdym numerze „Roli“ macie obrazek z mojem wizerunkiem i macie napisane: „Maciek Bzdura gada“, ale myślicie, ze to tak łatwo gadać, jak w żołądczysku kiski marsia bez ten święty jadwient grają, a cłek do tego musi myśleć o pośniku, który gospodyni na wiecór wigilijny ugdysą. Bez to i ja dzisiaj nie będę nic gadał, ino se wezmę urlop na parę dni, póki ten święty jadwient nie minie. I bez co ni miałby se wziąć urlopu? Przecie mają go nietylko wszyscy posłowie, ale nawet i senatorowie, a wielu z nich na wieki wieków Amen. A są między niemi i tacy, co dostali urlop z wiktem, mieskaniem i opierunkiem, a nawet, zeby ich kto nie ukradł, to ich na klucyk pozamykali. Siedzą se jak jacy hrabiowie! Przed drzwiami honorowa warta z siablą i karabinem, okna zakratowane, zeby jem do izby jaki pies nie wlaz i którego nie ugryz! Całą gębą parada, a zaden z nich o pośnik starać się nie potrzebuje, bo tam juz o niem pomyślą i co trzeba mu będzie to dadzą. A kiedy taki poseł ma od posłowania urlop, to cemuzbym ja od gadania nimiał mieć urlopu? Cy ja to co gorsego, albo co?

Co prawda to tą jesce nie wszyscy ś. p. posłowie są pod klucykiem, ale jak jednego zamkną, to se zaraz drugi powiada: Co tobie dziś, to mnie jutro. Ja jem ta nie zazdroscę, ale przecie myślę sobie, cemu to Poniezus daje jednemu prędzej, a drugiemu później? Chyba, ze i w tem wypadku idzie wszyćko po starsieństwie. I jednego się ino boję, ze jak tak dalej pójdzie, to co będzie z wyborami? Co najzapobiegliwsych ludzi pozamykają, dadzą im honorową wartę i jak przyjdzie w marcu głosować, to nie będzie na kogo!

Jagem powiedział prefesurowi, to się zywcem ze mnie roześmiał i powiada:

— Nie turbuj się Maciuś! Znajdzie się jesce wielu takich, którem się wydaje, ze są porządni, i ci będą chcieli, aby my na nich głosowali. Przygotuj się więc dobrze, aby ci na cwartego marca pary w pysku nie brakło!

Latego tez cemduchu biorę urlop i dziś juz więcej nie powiem, a ino przyjdzie święty pośnik, to się zacnę całą gębą do wyborów przygotowywać. Będę zar i zar, jaz się usy będą trzęsły, od świtania do nocy, a nawet na noc każę se przy wyrku jaki baniacek klusek ze śliwkami postawić, aby się po tem świętem jadwencie bebechy naprawiły i mogłem przy głosowaniu za dziesięciu ze siebie głos wydać.

Kaśka się mnie pytała, na kogo najlepiej dać głos przy wyborach? Jej się widziało, ze mnie weźmie na miłość i powiem, ze na nią. Ale niechby ją ograska prędzej potłukła, nizbym ja miał na nią głosować. Jesceby sharniała i bez paśportu z jakiem fajermanem do Hameryki uciekła. Jak głosować to na takiego, co cłekowi nie umknie, a nie umknie taki, co se honornie siedzi pod klucykiem i jest dobrze pilnowany. Trzeba będzie cłeku jakiej porady, cy pomocy, wsunies klucnikowi złociaka do garści, poprosis pięknie i zaraz cię przed oblice pana posła zaprowadzi. Pogadas se z nim ućciwie, a jakby ci cego nie chciał zrobić, to mu wsunies skibeckę chleba, abo łokietek kiełbasy i zaraz przekonania polityczne zmieni i zrobi ci, co zechces. Przecies wiadomo dobrze, ze niktórzy nasi posłowie tak zmieniali często swoje przekonania polityczne, jak baba kosulę, a więc nieraz i śtyry razy do roku. A jakby cię i tak nie chciał usłuchać, to pójdzies do Dziadka, a jak go Dziadek batem złoji, to będzie śpiwał nicem organista.

Ale zeby dobrze głosować, to trzeba mieć dobry głos. Azeby mieć dobry głos, to trzeba się do tego dobrze przygotować. Bez święty jadwient to było to niemożliwe, ba cłek gwoli postu musiał głodem przymierać. Na śniadanie baniacek baszcu i ciarapka zimiaków, na obiad znowuj baniacek baszcu i ciarapka zimiaków, na juzynę takoj ciarapka zimiaków i baniacek baszcu, i znowu na wiecerzę zimiaki i baszc, a wszyćko bez świńskiego ogona i krowiego lekarstwa. Na pośnik będzie całkiem inacej! Barszc z grzybami, pirogi z kapustą, groch z pęcakiem, pęcak z grochem, kasa ze śliwkami, śliwki z kasą, a kuzdego po misecce, po misecce, jaze dusa będzie się radowała, a wnętrzności z wielkiej uciechy same Veni Creator grały. A kiedy we wiliję dobrze olejem gardło się naoliwi, to i w święta prędzej parę bochenecków chleba na chwałę Boską się wsunie i cłek na wybory będzie miał głos, ze i za dziesięciu miescuchów obstoji.



Poradnik gospodarczy.

Nasz rolnik chciałby otrzymać duży zysk z roli, jeżeli widzi wprowadzoną jakąś nowość, przygląda się i obserwuje skutek, sam cicho nie zdradzając się, chce tę nowość wprowadzić i cóż się staje? często się zawodzi, i po smutnem doświadczeniu, nie można mu już wytłumaczyć, iż jest winien on, bo przez brak zrozumienia właściwej rzeczy całą sprawę popsuł i zysków nie powiększył, ale nawet je zmniejszył. U nas często podobnie miała się sprawa z nawozami sztucznemi. Nie przeczytał odpowiedniej książki, nie poinformował się należycie, ale widząc, iż inni wprowadzają do swego gospodarstwa nawozy sztuczne, wprowadził i on, ale bez odpowiedniego przygotowania bez działań próbnych, pokazało się, iż na tem stracił, i obecnie nie chce sobie przypisać winy, ale zraża się do wszelkich sztucznych nawozów, nie ufa im i nie łatwo daje się do nich przekonać.

Na nic się tu przydadzą książki, choćby najlepiej napisane, wykłady choćb ycodziennie głoszone, ale tu trzeba się zabrać z innej strony.

Przy pomocy subwencji Tow. rolniczych powinny powstać w każdej okolicy na razie w odpowiednim miejscu, a więc gdzie dużo ludzi uczęszcza i może dobrze obserwować pola doświadczalne, odpowiednio urządzone, aby uczyły i przekonywały praktycznie — a nie teoretycznie o ważności nawozów sztucznych.

Pola doświadczalne dobrze obmyślone oddadzą niesłychane usługi.

Po przeprowadzeniu doświadczeń, nastąpić powinna odpowiednia serja odczytów czy objaśnień, już właśnie opartych na poprzednim doświadczeniu ze skutkiem dodatnim.

Na rok następny przeprowadza się doświadczenie, ale z góry zapowiedziane ze skutkiem ujemnym na jednych polach, zaś na drugich ze skutkiem dodatnim, w stosownych pouczeniach objaśnia się działania nawozów dodatnie i ujemnie zastosowane, i działanie ujemne, wykazując błędne zastosowanie. Tak przeprowadzona propaganda nawozów sztucznych, musi być obmyślana przez ludzi światłych i przeprowadzana przez odpowiednie czynniki, poparte przez powołane do tego Tow. rolnicze, a przyniesie dopiero właściwe zrozumienie rzeczy i osiągnie należyty cel.

Propaganda za pomocą broszur, wykładów odpowiednich nic tu prawie nie zrobi, i nawet wagon papieru nie dokaże tego, co kilkomorgowe działki doświadczalne. Ale propagandą powyższą powinny zająć się nietylko Tow. rolnicze, ale sypnąć na nią groszem zarządy fabryk wyrabiających nawozy sztuczne, tak samo kupcy, którzy prowadzą handel temi nawozami. W gminach inicjatywę ująć powinny grupy rolników, którzy grupują się około jakiegoś Tow. oświatowego na przykład Kółka rolnicze i tu mają piękne pole do pracy.

A tak przyczyniając się do powiększania dochodów z gospodarstw, powiększamy majątek i dobrobyt narodowy, budując potężną i wielką naszą Ojczyznę.

Poradnik lekarski.

Wstrząśnienie mózgu. Choroba ta jest zawsze następstwem działania pewnej siły na głowę, której ogrom rozstrzygającym jest dla siły wstrząśnienia. Z pomiędzy przyczyn najważniejsze są: pchnięcie, uderzenie i upadek na głowę. Objawy: silne boleści głowy i wonity, a także częste zawroty głowy. Potem następuje chęć spania i słabość, która niekiedy potęguje się aż do zupełnej bezprzytomności. Leczenie: należy zwiększyć czynności serca, by móc przez to poprawić tętno i ciepłotę chorego. W tym celu układa się chorego poziomo w ogrzane łóżko i owija się go w dery wełniane. Na brzuch kładzie się ciepłe chusty lub ręczniki. W tym wypadku wezwanie lekarza jest konieczne.

Krwawa biegunka czyli czerwonka. Choroba ta jest zakaźną i grasuje ona często na wiosnę i w jesieni. Obejmuje ona wyłącznie błonę śluzową kiszki grubej. Przyczyną choroby tej są bakterje. Objawy: zaczyna się licznemi i cieńkiemi laksami, które później stają się flegmiste, aż wreszcie zawierają krew. Zakażenie stać się może wyłącznie przez wypróżnienie stolca, o ile się ktoś z nim zetknie. Ilość każdorazowego wypróżnienia jest małą, ale bardzo częstą, przy tem odczuwa chory wielką boleść i ciśnienie w kiszkach. Leczenie: zupełny spokój, leżenie w łóżku, gorące okłady, zupy mączne i środki przeczyszczające, według przepisów lekarskich. W chorobie tej pomoc lekarska jest niezbędną.

Choroby wątroby (żółtaczka). Największym gruczołem w ludzkim ustroju jest wątroba i dlatego znaczenie jej jest bardzo wielkie. Przeznaczeniem jej jest wytwarzanie żółci, niezbędnej do strawienia pokarmu. Nieraz wskutek gwałtownych wzruszeń, zmartwień, przestrachu, uderzeń, zgniecień, a także przez nacisk na kanały żółciowe, żółć przedostaje się do krwi i zabarwia ją swym kolorem. Wtedy powstaje żółtaczka, która jest zakażeniem krwi przez żółć. Objawy: ogólne osłabienie, kolor skóry żółty, sen niespokojny, apetyt mniejszy, swędzenie, mocz bardzo ciemnej barwy i t. p. Leczenie: płótno złożone we czworo lub sześcioro, macza się w gorącym odwarze ze siana, lub słomy owsianej, która kipiała przez 20 minut. Na wierzch nakrywa się kocem, aby było ciepło. Okład ten może leżeć u słabszego przez godzinę, u silniejszego dwie, lecz po upływie godziny, trzeba zamaczać na nowo w odwarze. Na wewnątrz daje się herbatę: z szałwji, z dzięglu i kurzego ziela.

(Dalszy ciąg w następnych numerach).

Od Redakcji.

Dzisiejszy numer „Roli" jest ostatnim w bieżącym roku. Pomimo może pewnych braków, pomimo może tu i ówdzie pewnych usterek w całorocznem wydawnictwie, z dumą możemy spozierać na rzecz przez nas dokonaną w ubiegłym czasie. A z tem większą dumą, że do wznowienia wydawnictwa przystąpiliśmy bez żadnych niemal funduszów, bo drobne oszczędności naszego Wydawcy nie mogą się przecież nazywać funduszami. Nie otrzymaliśmy znikąd ani grosza subwencji, a nawet jedno stowarzyszenie, które nam za swe komunikaty przyrzekło płacić, zawiodło tak, że zostaliśmy pozostawieni tylko własnym siłom i jeżeli mogliśmy liczyć na jakiekolwiek poparcie, to tylko naszych Czytelników. I ci nas nie zawiedli. Otrzymaliśmy w ciągu roku tyle wyrazów uznania, tyle słów zachęty, że siły nasze podwajały się i nie ustawaliśmy w pracy. Mieliśmy też licznych przyjaciół, którzy przez zjednywanie nowych prenumeratorów ułatwiali nam wykonywanie ciężkiego zadania. Więc nie ustawaliśmy, ale owszem pracę, którą w innych wydawnictwach wykonuje dwóch lub trzech ludzi, u nas wykonywał jeden człowiek, a choć to była nieraz praca niemal ponad siły, to krzepiła ją myśl, że to na pożytek społeczeństwa, że to dla dobra naszych Przyjaciół. I dziś po roku ciężkiej próby patrzymy z otuchą w przyszłość ufni, że nam Kochani Czytelnicy i nadal swej pomocy nie odmówią, że nietylko sami corychlej odnowią prenumeratę, ale zachęcą jak największą ilość swoich znajomych do zaprenumerowania „Roli". Wiemy o tem, że czasy są obecnie dość ciężkie i że dla niejednego 12 złotych stanowi pokaźną rubrykę w jego wydatkach. Ale wiemy i to, że niejedna przyjemnostka pochłania nieraz więcej grosza, a przecież pieniądze na nią znaleść się muszą. Przez odmówienie sobie więc przejściowej przyjemności można zapewnić sobie trwałą, jaką jest czytanie takiego pisma, jak „Rola". Przy dobrej woli pieniądze znajdą się, bo znaleść się muszą. Ciężkie czasy i my również odczuwamy, boć od roku wszystko znacznie podrożało, nie chcąc jednak utrudniać Czytelnikom zaprenumerowania naszego pisma, nie podnosimy prenumeraty, ale zatrzymujemy ją w tej samej wysokości, jaka była w roku bieżącym. Nie podwyższając prenumeraty, chcemy uczynić jednak „Rolę" jeszcze lepszą, aniżeli była w kończącym się roku. Dlatego też zamówiliśmy

lub przygotowali kilka doborowych powieści, z których wartość każdej pojedynczo przewyższy wartość całorocznej prenumeraty. Oprócz tego „Rola“ obejmie w przeciągu przyszłego roku całą masę drobniejszych utworów, których dość duży zapas mamy w tece, a o powiększenie którego jeszcze się postaramy. Słowem będziemy się starali uczynić „Rolę“ jak najlepszą, byle odwdzięczyć się za doznawane poparcie.

Wprawdzie ten i ów może powiedzieć, że 12 złotych to zaduży wydatek na „Rolę“, ale w takim razie niechże porówna tę „Rolę“ z innemi gazetkami, które nie mniej kosztują, a otrzymują od swych stronnictw zapomogi, czy która daje tyle do czytania Czytelnikowi, co „Rola“? Wszak my w ciągu roku wydrukowaliśmy samych powieści kilkanaście. Na dowód przytoczymy tu ich tytuły, a mianowicie: „Tajemnica na dworze królewskim“, „Podróż naokoło świata“, „Wśród puszcz i stepów“, „Matka królów“, „Wawrzek Dębczak“, „Walkowa dola“, „Zemsta Judyty“, „Ucieczka Archanioła“, „Pomszczona zbrodnia“, „Staw św. Małgorzaty“, „Było to pod Jeną...“, „Wskrzeszenie Łazarza“ i setki innych krótkich opowiadań, powiastek, bajek, humoresek itp. A gdyby ktoś niejedną z tych powieści chciał w księgarni kupić, to przekonałby się, że kosztowałaby ona więcej, niż całoroczna prenumerata „Roli“. A oprócz tego ma Czytelnik w każdym numerze „Roli“ po kilka obrazków, moc Rzeczy ciekawych, setki kronik z całego świata, wiele wierszyków, zagadki, humor, no i Maćka Bzdurę, który nieraz swem gadaniem i najsmutniejszego rozweselić potrafi. A wszystko to tylko za marne dwanaście złotych rocznie!!

Wspomnieć tu nam wypada i o niektórych agencjach, które przysyłając regularnie należytości za »Rolę« pracę wydawnictwa ułatwiały. Do takich agencyj należą: pp.: A. Figlowa w Krzeszowicach, p. Klimek w Limanowej, Foltin w Wadowicach, A. Gaspary w Myślenicach, R. Homa i E. Skaczelowa w Karwinie, Scheierowa w Starym Sączu, Pszczolka w Cieszynie, S. Margulies w Jaśle, Anker w Radłowie, Kapera, Rojowski i Mazurkiewiczowa w Wieliczce, Drozdowicz w Dobczycach, za co też im dziękujemy.

KRONIKA.

Wesołych Świąt życzymy wszystkim naszym Współpracownikom, Przyjaciołom, Prenumeratorom i Czytelnikom. To Dzieciątko Jezus niech sprawi, aby ten przyszły rok darzył ich zdrowiem, szczęściem i zupełnem zadowoleniem.

Wycofanie z obiegu biletów dwuzłotowych. W „Dzienniku Ustaw“ (Nr. 109) ogłoszono rozporządzenie ministra skarbu, zarządzające co następuje: Bilety zdawkowe wartości 2 złotych z datą 1 maja 1925 r. tracą moc prawnego środka płatniczego z dniem 31 marca 1928 r. Poczynając od dnia 1 kwietnia 1928 r. do dnia 31 marca 1930 r. powyższe bilety zdawkowe będą wymieniane na monety oraz bilety Banku Polskiego w centralnej kasie państwowej, kasach skarbowych oraz oddziałach Banku Polskiego. Po dniu 1 go kwietnia 1930 roku ustaje obowiązek wymiany tych biletów.

Bilety kolejowe nie podrożeją. Polska Agencja Publicystyczna donosi, że projektowana od 1 stycznia podwyżka cen biletów kolejowych nie będzie wprowadzona i ceny biletów kolejowych pozostaną niezmienione. Cofnięcie zamierzonej podwyżki taryfy pasażerskiej pozostaje w ścisłym związku z wydanem przed niedawnym czasem zarządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawie stabilizacji złotego.

Opera w Skawinie. W dniu 12 b. m. staraniem Tow. „Sokół“ w Skawinie odegrał zespół amatorski operę w 4 aktach Jana St. Lisowskiego p. t. „Widmo“. Dekoracje do tej sztuki wykonał znany i ceniony powszechnie art. malarz i powieściopisarz p. Różecki. — Amatorzy wywiązali się z ról swoich wprost po mistrzowsku, za co ich też nagradzano burzliwemi oklaskami. Na szczególne wyróżnienie zasługują: p. Lisowski jako twórca opery i dyrygent muzyki, następnie pp: Janka Różycka w roli Kachny, Jadwiga Głusiówna w roli Zosi, Helena Głusiówna w roli Krychy, Węgrzynówna w roli matki i St. Krzyszkowski w roli Janka. Pięknemu zespołowi życzymy w dalszej owocnej pracy Szczęść Boże! *Rydz.*

Straszna śmierć nauczyciela. Z Różanki koło Strzyżowa piszą nam: W Różance zdarzył się tragiczny wypadek, który wstrząsnął całą okolicą. Od kilku miesięcy objął posadę nauczyciela w miejscowej szkole, dopiero co ukończywszy studja w seminarjum nauczycielskiem w Rzeszowie, młody i energiczny człowiek, p. August Nowotny. Objąwszy posadę, wziął się raźno do pracy, wykonując funkcje za trzy siły nauczycielskie. Dnia 3 bm. przyjechał do niego w odwiedziny brat jego p. Kazimierz Nowotny z Tyczyna z zawodu szofer. Po serdecznej pogawędce obaj pp. Nowotni położyli się spać, napaliwszy poprzednio w piecu węglem i drzewem. Piec zasunięto, niespodziewając się nic złego, ponieważ więcej drzewem palono. Jeden z sąsiadów nazwiskiem Smarz proszony poprzednio przez p. A. Nowotnego, ażeby go obudził na „Roraty“, przyszedł go obudzić, bijąc długo do drzwi, nie mógł się go jednak dobudzić, a przypuszczając, że obaj pp. Nowotni już poszli, obudziwszy się sami, odszedł i udał się do kościoła. Dopiero, wróciwszy z kościoła, widząc, iż budynek szkolny jest jeszcze zamknięty, wszczął alarm. Zbiegli się co bliżsi sąsiedzi, otworzywszy okno, dostali się do pokoju śpiących. Oczom ich przedstawił się przerażający widok: wplątany głową w żelazny bastjon łóżka leżał p. K. Nowotny w drgnieniach ostatnich przedśmiertnych konwulsyj. Pod łóżkiem zaś w przerażającym stanie leżał p. Augustyn Nowotny już zimny. Wszczęto natychmiast wszelkie możliwe środki ratunku, i zdołano utrzymać przy życiu p. K. Nowotnego. Zawiadomiono o przypadku telegraficznie rodzinę. Trudno sobie wyobrazić rozpacz przybyłych, matki i siostry, przerażonych ogromem nieszczęścia. Jeden na marach śmiertelnych, drugi walczący ze śmiercią. Pogrzeb ś. p. Augusta odbył się dnia 7 bm. przy współudziale miejscowej ludności i instytutucji oraz nauczycielstwa całego powiatu oraz władz szkolnych. P. Kazimierz N. powraca pod troskliwą opieką matki powoli do zdrowia. Straszny ten przypadek niechże będzie dla każdego przypomnieniem, że nigdy nie można być zanadto ostrożnym.

Napad rabunkowy pod Jarosławiem. Onegdajszej nocy niedaleko Jarosławia napadli dwaj uzbrojeni w noże bandyci na wóz, jadący z Przeworska. Po sterroryzowaniu woźnicy, niejakiego Semka, bandyci zrabowali mu zwój skóry, wartości około 1.000 zł. i z łupem zniknęli w lesie przydrożnym. Policja wdrożyła pościg za bandydatami, na razie bez rezultatu.

Obrabowanie kupca pod Lwowem. Onegdaj wieczorem drogą ze Lwowa do Rzęsny Polskiej jechał

furą kupiec N. Chillerfeld, wiozący zakupiony we Lwowie większy zapas towarów tekstylnych, wartości kilku tysięcy złotych. Kilka kilometrów za Lwowem trzej osobnicy, uzbrojeni w rewolwery, zatrzymali jadącego Chillerfelda, któremu, po steroryzowaniu go, zrabowali kilkanaście zwojów sukna. Po dokonaniu rabunku, bandyci, oddawszy w powietrze 4 strzały, zbiegli w nieznanym kierunku.

Ślub z przeszkodami. Onegdaj we Lwowie zdarzył się zabawny wypadek. Oto niejaki Salomon Bahrer recte Schapira z zawodu kupiec, jeszcze przed kilku laty ożenił się z Biną Münzer. Przed kilku tygodniami jednak poznał on niejaką Rózię Spritzer z Zamarstynowa, w której zakochał się. Bahrer począł ze Spritzerówną romansować, a przedstawiwszy się jej jako kawaler, oświadczył się o jej rękę. Spritzerówna była bardzo rada i przyjęła jego oświadczyny, poczem postanowili oboje jak najprędzej wziąć ślub. Ostatecznie akt ten miał się odbyć w lokalu szkoły tańców Thuna w Rynku Tymczasem o przygotowaniach Bahrera do jego powtórnego ślubu dowiedziała się żona. Udała się więc do policji i doniosła o zamiarze popełnienia bigamji przez swego męża. Wobec tego udała się do szkoły tańców Thuna, aby przeszkodzić ślubowi. Przed chwilą właśnie odbył się tam jeden ślub, po którym mieli być złączeni Bahrer i Spritzerówna. W chwili, gdy w lokalu zjawiła się policja, Bahrer, widząc co się święci, wraz z rabinem, Spritzerówną i swoimi gośćmi ukrył się w drugim pokoju, do którego drzwi zamknięto na klucz. Z powodu wkroczenia policji wśród zebranych gości powstała konsternacja i dopiero po dłuższych pertraktacjach, drzwi otworzono. Rabin, dowiedziawszy się z ust funkcjonarjusza policyjnego, o co chodzi, Bahrerowi ślubu nie udzielił i opuścił lokal Thuna. Naturalnie między zebranymi gośćmi wywiązała się awantura, gdyż z policją weszły tam również i żydówki, stronniczki Schapirowej. Panna młoda, Spritzerówna, usłyszawszy, że Bahrer-Schapira żonaty, zemdlała, a gdy ją ocucono wraz z swoimi rodzicami czemprędzej odjechała do rodzicielskiego domu. Następnie Bahrer po niedoszłym do skutku ślubie w otoczeniu swoich przyjaciół opuścił salę Thuna. Dodać należy, że Bahrer postanowił rozwieść się z żoną i w tym kierunku poczynił odpowiednie kroki, lecz na rozwód nie chce zgodzić się jego żona. Obecnie mają być wznowione pertraktacje rozwodowe, gdyż Bahrer postanowił za wszelką cenę ożenić się ze Spritzerówną, bez której — jak powiada — żyć nie może.

Tragiczny pożar. Onegdaj wybuchł we Lwowie w składzie nafty i oliwy, należącej do A. Skibowej, groźny pożar. Z powodu eksplozji coraz to nowych beczek nafty akcja ratunkowa straży ograniczyła się do zabezpieczenia dalszych pomieszczeń w parterze i na piętrze, sam sklep zaś, przedstawiający jedno wielkie morze płomieni, zalewano, przy użyciu hydrantów, strumieniami wody. W czasie trwania akcji ratowniczej nadbiegła na miejsce katastrofy właścicielka sklepu, która, mimo sprzeciwu funkcjonarjuszy straży pożarnej i policji, wtargnęła do wnętrza sklepu, skąd w przeciągu dwóch minut wydobyła małe zawiniątko, będące już prawie całe w stanie zwęgleniu. W drodze powrotnej zajęły się na Skibowej szaty, tak, że doznała ona silnych poparzeń na całem ciele. Okazało się, że Skibowa, przypomniawszy sobie, że posiada w szufladzie torebkę, zawierającą 1.300 zł., skoczyła w morze płomieni, ocalając w ostatniej chwili pieniądze przed spaleniem. Torebka bowiem, w której pieniądze się znajdowały, była już spaloną, w chwili zaś, gdy Skibowa sięgnęła do szuflady, pieniądze zaczęły się palić. Skibową w groźnym stanie natychmiast pogotowie ratunkowe odwiozło do szpitala.

Żywa pochodnia. Członkowie obozu cygańskiego w Czemernie w Czechach byli w tych dniach świadkami groźnej tragedji w rodzinie cyganki Gorolowej. Cyganka odeszła z obiadem dla męża, który pracował w pobliskim Wronowie i zostawiła w domu dwie głuchonieme córki, ośmioletnią Margitę i czteroletnią Jolantę, które miały równocześnie uważać na ośmiomiesięczną swą siostrzyczkę. W piecu palił się ogień, a ponieważ dzieci były głodne, chciała Margita zagrzać jedzenie. Płomienie, pełzające z prymitywnego pieca, chwyciły się odzienia dziewczyny, która stanęła w jednej chwili w ogniu.



Głuchonieme dziewczę biegało w szaleństwie po izbie tak, że wkrótce zapalił się i siennik, na którym leżały obie młodsze dziewczynki. Wydobywający się z okna dym spostrzegł przechodzący tamtędy młody cygan, który szybko otworzył drzwi. Naprzeciw wybiegła mu Margita jako żywa pochodnia i uciekała uliczką między chatami; cygan pobiegł za nią i pozrywał wreszcie z niej płonącą odzież Było już jednak zapóźno. Przywołany lekarz stwierdził straszne poparzenia i dziewczę w kilka godzin wśród okropnych boleści zmarło. W międzyczasie stanął cały szałas w płomieniach i zanim zdołano ogień ugasić, udusiły się wskutek dymu i obie młodsze dziewczynki.

Konfiskata ukrytego skarbu. Donoszą z Warszawy: We wsi Dębkowizna, w pow. radzymińskim pod Warszawą, wykryto olbrzymią potajemną gorzelnię, która mieściła się w domu Balbiny Kozikowskiej. Odkrycie było dziełem przypadku. Oto przechodząc szosą obok wsi Dębkowizna, posterunkowy Werecki, spotkał powożony przez młodą dziewczynę wóz. — Panienko, a możeby mnie panienka podwiozła? Niewiasta nic nie odrzekła. Zeskoczyła z kozła i uciekła do lasu. Zdziwił się policjant, bowiem na wozie leżały dwie zwykłe bańki od mleka. Dla spokoju sumienia jedną z nich otworzył, powąchał i krzyknął ze zdumienia. W bańce był spirytus! Po nitce do kłębka, czyli po koniach i wozie doszła policja do właścicielki owej potajemnej gorzelni. Przeprowadzona rewizja w chałupie dała nadspodziewany rezultat. Znaleziono 3 beczki, zawierające razem 900 litrów okowity oraz kilka beczek zacieru. W sąsiedniej ubikacji znaleziono wielki kocioł miedziany, służący do pędzenia wódki, 11 litrów rozczynu, 500 kg. cukru, 9 pustych beczek oraz 500 litrów wódki. Cały zapas gorzelni wynosił więc blisko 1.500 litrów alkoholu, gotowego już do konsumpcji. W związku z wykryciem olbrzymiej gorzelni, aresztowano właścicielkę lokalu i 5 innych osób, oraz 2 robotników. Według pogłosek właścicielami gorzelni byli kupcy z Warszawy, którzy również będą aresztowani Śledztwo w toku.

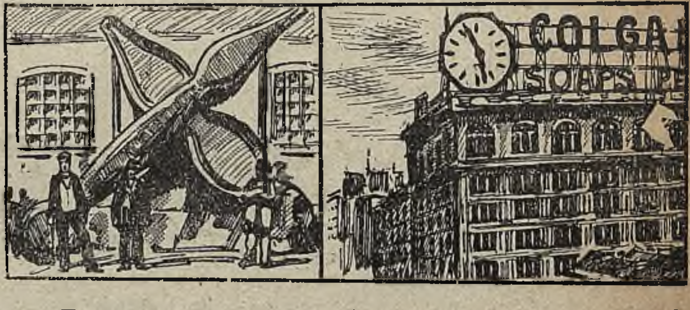
Śmierć zakonnika w nurtach Wisły. Na Wiśle w pobliżu Bielan koło Warszawy wydarzył się w zeszły

wtorek straszny wypadek. O 4 po poł. z klasztoru O. O. Marjanów na Bielanach wyszło kilku braci zakonnych z nowicjatu O O. Marjanów. Zakonnicy przechadzali się brzegiem Wisły. W pewnej chwili dwaj z nich Jan Podgórski i Witold Bieńkowski weszli na zamarzniętą Wisłę, aby po lodzie dotrzeć do strzelnicy wojskowej. Gdy byli już niedaleko od brzegu, lód załamał się i obaj zakonnicy wpadli do Wisły. Bieńkowskiemu udało się wydobyć na powierzchnię. Podgórski mimo wysiłków, zginął pod taflą lodową. Na pomoc pośpieszyli zakonnicy i rybacy. Niestety, wszelka pomoc okazała się spóźniona i Podgórski poszedł na dno. Kilku rybaków wyrąbało część lodu i rozpoczęło poszukiwania. Po kilkugodzinnej pracy wydobyto zwłoki Podgórskiego. Ś. p. Podgórski liczył 22 lata. Zwłoki przeniesiono do klasztoru.

Produkty rąk cesarskich. Była cesarzowa austrjacka Zyta, zmęczona widocznie daremnem poszukiwaniem odpowiednich jej dawnemu położeniu środków finansowych, ktore pozwoliłyby na wychowanie ośmiorga dzieci, postanowiła obecnie czerpać dochody z pracy rąk własnych. Była władczyni Austrji dawniej jeszcze lubiła bardzo różne roboty ręczne, ze specjalnem zaś umiłowaniem oddawała się ongiś dla przyjemności trykotarstwu. Obecnie zamiłowanie to staje się realnem źródłem dochodów. Zyta wyrabia masowo rozmaite szale z włóczki, kostjumy sportowe, które w różnych środowiskach są formalnie rozrywane, jako produkty rąk cesarskich. Trykotaże cesarzowej, są naturalnie bardzo drogie, ceny ich nie obniża, rzecz prosta fakt, że zanim dostaną się do rąk właściwego nabywcy lub nabywczyni przechodzą przez ręce kilku pośredników. Niedawno we Wiedniu córka pewnego bogatego rzeźnika ku zazdrości swych przyjaciółek, pyszniła się kostjumem sportowym, wykonanym przez byłą cesarzową Zytę. Za kostjum ten rzeźnik zapłacił b. monarchini 50 funtów szterlingów (około 2200 złotych).

14-piętrowe więzienie. Na tak wspaniały gmach może sobie w naszych czasach pozwolić jedynie Ameryka! Istotnie, nowojorska rada miejska uchwaliła wybudować wspaniały „drapacz nieba", mający służyć za więzienie dla kobiet. Przymusowe lokatorki korzystać będą z komfortu, którego śmiało pozazdrościć im będzie mógł nie eden obywatel Stanów Zjednoczonych, nienaganne życie pracowicie prowadzący. A więc niższe piętra zajęte mają być przez kuchnie, pralnie, kamery dezynfekcyjne, łaźnie etc., właściwe zaś cele więzienne znajdować się będą wyżej aż do 10 piętra włącznie, by zapewnić aresztantkom lepsze warunki hygieniczne pod względem powietrza i słońca. Na samej górze rozmieszczone mają być sale jadalne i rekreacyjne, infirmerja więzienna, bibljoteka i czytelnia oraz dużych wymiarów kaplica. Niema to, jak siedzieć w kryminale w Ameryce.

Największy zegar w świecie. Ameryka, jak wiadomo, zdumiewa świat olbrzymiemi budowlami. Znane są u nas z obrazków w pismach ogromne kamienice w Waszyngtonie, Nowym Jorku i innych wielkich miastach Ameryki, liczące po 20, 30 i więcej pięter, a zwane „drapaczami nieba".



To też w tym kraju nie do uwierzenia wielkich budowli pojawił umieszczono na szczycie kilkunastopiętrowej kamienicy w stolicy Stanów Zjednoczonych, Waszyngtonie, największy zegar na świecie. Tarcza zegara liczy 1134 stóp kwadratowych, średnica 38 stóp, wskazówka dłuższa, pokazująca minuty, jest długa na dwadzieścia stóp, a waży przeszło 300 kilogramów. Obrazek nasz, wyobrażający trzech mężczyzn obok wskazówek tego olbrzyma zegara, daje wyobrażenie o jego wprost nieprawdopodobnych rozmiarach.

RZECZY CIEKAWE.

Dziwaczne testamenty.

Pisma amerykańskie podają, iż do jednego z banków w Chicago zgłosił się niejaki Müller przybyły z Niemiec i złożył tam 1 dolara, zastrzegając jednocześnie, aby suma ta wraz z narosłemi procentami wypłacona została jego męskiemu potomkowi nie wcześniej jednak jak w r. 2427. Obliczono, że przez ten czas jeden skromny dolar obróci się w majątek 2,900.000 dolarów.

Przypomina to również dziwaczną wolę zmarłego przed niedawnym czasem holenderskiego króla kakaowego M. Mausa, który kolosalny swój majątek zapisał swej siostrzenicy pannie van Koeten, stawiając za warunek, że będzie ona przez 3 miesiące w roku zamieszkiwała w swej ojczyźnie i nosiła przez cały ten czas strój wieśniaczki holenderskiej.

Bogacz amerykański zmarły w szpitalu w Los Angelos, żąda przed śmiercią dostarczenia mu damskiej halki, na której spisuje ostatnią swą wolę. Tak spisany testament starają się obalić testatorzy, figurujący w poprzednio napisanym, których spisany na halce testament wydziedzicza zupełnie, opierając swe żądania na twierdzeniu, iż zmarły przy spisywaniu swej ostatniej woli na halce damskiej czynem tym dowiódł, iż nie był przy zdrowych zmysłach. Proces w tej niezwykłej sprawie spadkowej podziś dzień nie jest zakończony.

Znane jest rozporządzenie przedśmiertne pewnej Niemki, która w obawie przed letargiem, pozostawiła 100.000 marek tej osobie, która po jej zgonie łechtać ją będzie przez 24 godzin bez przerwy. Pieniądze te wyłechtała z swej zmarłej chlebodawczyni jej służąca.

Bankier indyjski Sigari pozostawił po śmierci swoje 400.000 dolarów na budowę schroniska dla podróżnych. Żąda on jednak od pensjonarzy tego hotelu absolutnego zachowywania życia wszystkim pluskwom, a od zarządu hotelu jak najdalej idących starań, aby stworzenia te mogły się jaknajliczniej rozmnażać. Za przenocowanie w tym pensjonacie każdy otrzymuje 2 dolary.

Peter Teluson w Manchester zostawił w 1797 r. majątek wynoszący około pół miljona dolarów z warunkiem wypłacenia go dopiero w czwartem pokoleniu — Spadkobiercy daremnie starali się obalić ten testament i dopiero po upływie oznaczonego terminu otrzymali szczęśliwi praprawnukowie dziwaka sumę 18 miljonów dolarów.

Trudny język.

W Ameryce, w południowych Kordyljerach, mieszkają Indjanie, których język jest bodaj najtru-

dniejszy na świecie. Damy maleńki przykład: Masło nazywa się u nich naprzykład: „Waitkyanamankupinginikikpithmuk“. Niechże ktoś spróbuje wypowiedzieć to szybko i nie połamać sobie języka przy tym eksperymencie. W tłumaczeniu słowo to znaczy: „Tłuszcz płynący z wymienia krowy“.

Kiedy zaczynają liczyć trudno domyśleć się, kiedy dojdą do jakiejś sumy. Ośmnaście nazywa się: „Szogemck-waktha-mokeminik-anthanthla-ma“. Po polsku: Policz wszystkie swoje palce, dodaj nogę i jeszcze trzy palce drugiej nogi. Jeżeli ośmnaście wymaga tyle czasu do wymówienia, ileż trzeba, aby nazwać np. rok 1927?

Poczta podrożała: Pocztówka 15 gr., list 25 gr.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **J. W. Gaweł** w K.: Oczywiście ma Pan najzupełniejszą rację, twierdząc, że Kościół święty nie miał wątpliwości o Niepokalanem Poczęciu N. Marji Panny i że fakt ten został tylko później sformułowany w dogmat. Gdybyśmy byli chcieli pisać na ten temat rozprawkę, zajęłaby ona zbyt dużo miejsca. Daliśmy tylko szkic i to tak, aby on był jak najłatwiej zrozumiany. Za tak miłe, a z głębi serca płynące życzenia, serdecznie dziękujemy. — **Maryla „Widz“** w O.: „Posłannictwo lekarza“ otrzymaliśmy i chętnie zamieścimy. Być może, że w myśl listu Pani wzruszy ono niejedno dotąd nieczułe serce na nędzę ludzką. — **Piotr Wenc** w S.: Za nadesłane utwory serdecznie dziękujemy. Pójdą kolejno. — **Bolesław Szymański** w B.: Zagadki umieścimy, ale najpierw musimy drukować te, które dawniej nadeszły. — **Antoni Szymański** w H.: Powieść niech Pan nadeszle, zobaczymy. Jako druk, posyłać nie można. „Nowe Wolne chwile“ już nie wychodzą. Co się tyczy wynalazku, to w tej sprawie nie możemy dać żadnego objaśnienia. Aby brać udział w losowaniu, trzeba rozwiązać wszystkie zagadki. Czasem robimy wyjątek, gdy zagadki są zbyt trudne. — **Józef Serafin** w M.: „Legenda wigilijna“ przyszła zapóźno; schowamy ją do przyszłego roku. — **Karolina Mika** w S.: Maciuś powiada, że zamiast całusów wolałby kilka złotych, gdyż, jak twierdzi, całusa sobie nic poji. Zresztą, czy to prawda, nie wiemy. — **Koło Młodzieży** w Kł.: Przepatrzyliśmy wszystkie wysyłki w listopadzie i w tym miesiącu nie wysyłaliśmy dla Koła wspomnianych książek, zatem pieniądze wysłane nie były. Zresztą były to pieniądze cudze, więc powinien oddać względnie wykazać się dowodem nadania. Cześć! — **Teofil Szendzielarz** z P.: Niech się Pan upomni energicznie u listonosza, o ile do dziś dnia nie otrzymał. Wysłane było 9 grudnia. — **Ignacy Biegacz** w P.: Obydwa wierszyki całkiem dobre, więc je zamieścimy. Za życzenia serdeczne dzięki.

Giełda pieniężna

Dolary Stanów Zjed.	8 86—8 90	Korony czeskie	26·35—26·48
Funty szterl. . .	43 53—43 64	Franki szwajc.	172 20—172 77
Franki francuskie	35 04—35 12	Liry włoskie .	48·33—48 57

Zagadki do nagrody.

1. Logogryfy.

(Ułożył Wł. Marko z K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ □ Kasztany.
☆ ■ ☆ ☆ □ ☆ Zbiorowy namysł.
☆ ☆ ■ □ ☆ ☆ Posługacz hotelowy.
☆ ☆ □ ■ ☆ ☆ Zwierzę ciepłych kraj.
☆ □ ☆ ☆ ■ ☆ Jarzyna.
□ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Wspak sprzęt domow.
☆ □ ☆ ☆ ■ ☆ Wspak zajęcie adwokat
☆ ☆ □ ■ ☆ ☆ Wspak (bez kropki) powieść
☆ ☆ ■ □ ☆ ☆ Czasownik [Szczulskiej
☆ ■ ☆ ☆ □ ☆ Jest na wsi.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ □ Wspak otwór wulkanu.
☆ ■ ☆ ☆ □ ☆ Owoc leśny.
☆ ☆ ■ □ ☆ ☆ Nazwa dziennika.
☆ ☆ □ ■ ☆ ☆ Jeleń.
★ □ ☆ ☆ ■ ☆ Uroczystość wojskowa.
□ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Rozrywka.

Litery, wstawione zamiast kwadracików czarnych i czytane z góry na dół i zamiast kwadracików białych i czytane z dołu do góry dadzą dwa tytuły z „Roli“.

2. Szarady.

(Ułożył H. Biłka-Głębicki).

I.

Pierwsza, na wodzie w wiosny zaraniu,
Drugi, nas codzień ciśnie w obraniu,
Na trzecich, z góry w zimie zjeżdżamy,
W całości powieściopisarza mamy.

II.

Pierwsza czwarta bywa w ciągu lata,
Instrument muzyczny, znowu druga czwar-
Trzecie drugie, matula swe dziecię, [ta,
Zaś miejsce wskazuje nam trzecie,
Żebyście wiedzieli jaka tego całość,
Stolarz nią meble naciera na trwałość.

III.

Pierwszego w ogrodzie jesienią sadzicie,
Pies, pół pierwszego i trzecie,
Drugi po wodzie pływa,
Pół trzeciego i drugi, jest zrobiony z drzewa,
Drugiej i trzeciej majtkowie używają,
Kwiat całość, który ogrodnicy znają.

IV.

Zbrodniarze pierwsze i drugie dostają,
Czwarte i drugie — w puszczy mieszkają,
Piąty pół trzeciego, któżby nie znał jego,
Mieszkaniec wody — dobre mięso z niego.
Zwierz dziki krzyka, drugą i trzecią,
Pół pierwszej i drugie w Paragwaju skrze-
[czą.
Całość w gazetach bywa umieszczana,
Podobizna na żart tam narysowana

3. Łamigłówka.

(Ułożył Jan Patulski O.).

a	a	e		
a	a	e		
a	e	k	s	s
		l	l	t
		r	r	w

Powyższe litery poprzestawiać by w ten sposób otrzymane wyrazy czytene pionowo i poziomo brzmiały jednakowo.

4. Łamigłówki.

(Ułożył „Yoga“).

Czasownik + litera + zaimek = ?
Zaimek + karta do gry + ?
Karta wspak + zaimek + litera = ?
Wąwóz wspak + usta (jęz. niem.) = ?
Skała morska + spółgłoska = ?
Więcej (po grecku) + karp = ?
Mężczyzna + zaimek + zaimek franc. + zaimek.
Zaimek (3. p. l. p.) + utwory geometryczne + spółgłoska = ?
Kwiat + papugi = ?

5. Bilety wizytowe.

I. Szul Sjawoj
Łuck

Tyc. Pen
Wilno

Powyższe bilety rozdzielić naszym sławnym poetom. Do kogo one należą?

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 1 stycznia 1928 r.

Znaczenie zagadek z Nru 50 „Roli“: 1. Logogryf: Władysław Reymont-Zygmunt Krasiński. 2. Szarady: Korali-ki-ratunek. 3. Arytmograf: Galatea. 4. Trójkąt: Grafolog. 5. Bilet wizytowe: Antoni Malczewski. Adam Mickiewicz. Ignacy Krasicki.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Bylica z K., W. Ciepiela z B., Piotr Wenc z S., Gabrjel Wirstnik z Szcz. i E. Jarolim z D., »Yoga« i Marko z K.

Nagrody wylosowali pp.: W. Ciepiela z B. i E. Jarolim z D.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny

Do nabycia w Administracji „Roli". — Cena wraz z przesyłką pocztową 2 zł. 95 gr.

Pieniądze na kalendarz nadsyłane przekazami pocztowemi prosimy nadsyłać na konto pocztowe „Roli": 406.301 z dopiskiem „Na kalendarz".

Nie bez powodu.

Sędzia do świadka: przychodzi pan do sądu niegolony? jest to w każdym razie brak uszanowania!

Świadek: Ale gdzie tam — panie sędzio, przyszedłem ogolony, ale przy tak długiem czekaniu na wywołanie broda mi urosła.

Na wsi.

— Słuchajta matko, biorę Kaśkę za żonę, ale mi musita kupić harmonję.

— A to ci na co?

— Bo ksiądz proboszcz pędział, że w małżeńskim sakramencie harmonja to grunt!

Bohater.

— Byłeś Janku u dentysty?

— Byłem tatusiu.

— I nie płakałeś?

— Nie proszę tatusia.

— Zuch z ciebie! A co ci robił?

— Nic, bo go nie było w domu.

Dymiący piec.

Lokator: Gospodarzu, ten piec dymi i źle grzeje, czy to zawsze tak?

— Nie panie, to tylko przez zimę, była odpowiedź.

Anegdoty słyszane.

Ksiądz: Czy P. Bóg jest obecny w waszym domu?

Chłopiec: Tak jest.

— A w waszej piwnicy?

— Niema go tam.

— Ej, a dlaczego?

— Bo piwnicy nie mamy.

Dwaj synowie.

— Wielu macie synów?

— Dwóch; jeden jest kasjerem w banku, a drugiego już schwytali.

Rocznik „Roli" z roku 1927

zawierający 19 powieści: „Tajemnica na dworze królewskim", „Podróż naokoło świata, „Dziwy w świecie", „Przygody Filipa", „W szpitalnej celi", „Dziwne sny", „Zwiastunka śmierci", „Wśród puszcz i stepów", „Matka królów", „Wawrzek DybcZak", „Walkowa dola", „Zemsta Judyty", „Ucieczka Archanioła", „Pomszczona zbrodnia", „Staw św. Małgorzaty", „Było to pod Jeną...", „Abraham Pinkt i Mateusz Sikora", „Baśń o Sobotniej Górze", „Wskrzeszenie Łazarza".

Wiele z powyższych powieści jest ozdobionych pięknemi ilustracjami.

Całość rocznika obejmuje 1.040 stron a kosztuje wraz z przesyłką pocztową tylko 9 zł. 50 gr.

Prenumerata kwartału bieżącego kosztuje 3 zł. 40 gr.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 16 grudnia b. r.

Pszenica .	59·00—51·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	00·00—00·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	37·00—37·50	Koniczyna na-	
Jęczmień .	38·00—30·00	sienn. czer.	360·00—370·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	28·50—29·00
Fasola biała	43·00—45·00	Mąka żytnia	61·50—62·00
Groch zwyk.	00·00 - 00·00	Mąka pszen.	82·00—82·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę" zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Życzenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku, gdyż tę część otrzymujemy.